Nr. 35. Poznań, Niedziela 26-go Sierpnia 1900 r. Rok IV



*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1 markę;** na poczcie w Austro-Węgrzech **59 cent.***
Pod opaską:** w Niemczech **1,65 mr.,** w Austro-Węgrzech **1 złr.,** za Oceanem **1 dolar.

Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Manuskryptów nie zwraca się.

Nasz Arcybiskup.

Kiedy wyszedł ostatni reskrypt ministeryalny, znoszący naukę religii w języku polskim, a zaprowadzający w miejsce tegoż jako wykładowy język niemiecki, zapanowało w całem naszem mieście oburzenie, rozgoryczenie i wielki ból. A oburzenie to, rozgoryczenie i ból trwają do dzisiaj!

I zdawało się, że poza naszą własną energią i działalnością nikogo nie ma, ktoby się za nami ujął i bronił nas wobec niebezpieczeństwa grożącego nam i dzieciom naszym.

Tymczasem rozeszła się niebawem wieść, że nasz Najprzewielebniejszy Arcypasterz wystosował do p. Studta, ministra oświaty, zapytanie, jakiem prawem miesza się do rzeczy i spraw kościelnych takich jak nauka religii, jakiem prawem minister oświaty zaprowadza na tem polu zmiany bez poprzedniego porozumienia się z władzą kościelną i że zarazem przeciwko takiemu samowolnemu postępowaniu pruskiego ministra nasz Gnieźnieńsko-Poznański Arcybiskup i najwyższy Duszpasterz stanowczy zaniósł protest! Protest ten donośnem odbił się echem w sercach naszych, w całej naszej dzielnicy polskiej, a pozatem i w całych Niemczech. U nas wywołał on wdzięczność i głębokie uznanie dla naszego Arcypasterza i tem silniej zadzierzgnął się węzeł łączący Jego z nami; w szowinistycznej zaś prasie niemieckiej wywołał oburzenie, gwałtowne napaści i niemal powódź całą zajadłych i nikczemnych artykułów.

Niektóre z hakatystycznych piśmideł idą nawet tak daleko, że śmią naszemu Najprzewieleb. Duszpasterzowi przypominać, że jest biskupem pruskim i że królowi pruskiemu składał przysięgę wierności! Bezczelny pismak hakatystyczny zdaje się zapominać, że właśnie na mocy tej to przysięgi, a przedewszystkiem na mocy swego powołania bożego i na mocy zobowiązań wiążących Go z Rzymem i z wiarą naszą św. Arcybiskup Gnieźnieńsko-Poznański zobowiązany jest bronić powierzonych sobie wiernych tam wszędzie, gdzie dobro ich dusz jest zagrożonem, jak się to właśnie w tym razie w obec wtargnięcia ministra w sprawy kościelne i religijne dzieje. Właśnie przysięga, jaką Arcybiskup nasz składał, że dbać będzie o wieczne dobro powierzonych sobie wiernych, nakłada na Niego obowiązki energicznego wystąpienia wobec samowolnych rozporządzeń ministra.

Przedewszystkiem zaś nie szowinistów niemieckich rzeczą jest przypominać naszemu najwyższemu Dostojnikowi i Księciu Kościoła, zajmującemu krzesło dawnych Prymasów Polski, przysięgę składaną królowi pruskiemu. Nasz Ks. Arcybiskup o niej nigdy nie zapomni, ale hakatystyczny pismak zdaje się zapominać, że to przodkowie królów pruskich właśnie mogą służyć za przykład w wiarołomstwie i lekceważeniu przysiąg. Hołd pruski królom polskim składany wieczną będzie wierności brandenburskiej pamiątką i dowodem!

Około swego Arcypasterza, który żywe nam daje dowody, że godnym jest swych wielkich poprzedników następcą i wielkiej po nich dziejowej spuścizny godnym spadkobiercą, gromadzą się w tej ciężkiej chwili wszyscy wierni Jego i z Nim razem gotowi są do obrony dóbr swoich najświętszych. *Poznańczyk.*

Minister — pruskiej oświaty...

Minister, tej dla nas tak znamiennej — pruskiej oświaty, kasując wykłady religii po polsku, postąpił sobie ze zwykłą — krzyżacką bezwzględnością i nie porozumiał się wcale z instancyą najbardziej interesowaną t. j. z Księdzem Arcybiskupem.

Ks. Arcybiskup, nie mogąc dozwolić, aby jego słuszne prawo nie było uwzględnione, zwrócił się w tej mierze z zapytaniem do rządu. Zanim oficyalną udzielono odpowiedź,

ukazał się taki półurzędowy komunikat w *„Kölnische Zeitung“*:

„Nie pytano się ks. Arcybiskupa w tej sprawie o zdanie, ponieważ przeważna część duchowieństwa polskiego w Poznańskiem skłania się daleko więcej do uwzględnienia polskich, jak niemieckich interesów, a ze strony Arcybiskupa nie doznaje tak ostrej nagany, jakby się spodziewać można od pruskiego księcia Kościoła. Może to być nieprzyjemnem dla ks. Arcypasterza, że u władz poznańskich już nie posiada tego wpływu, ale z tem się będzie musiał pogodzić“.

Odpowiedź ta wprost obraża ks. Arcybiskupa i zmusi go do użycia silniejszych środków, aby przyprowadzić ministra — pruskiej oświaty do upamiętania — —

Stoimy więc w przededniu walki nietylko o narodowość, ale i o wiarę.

Za czasów kulturkampfu widzieliśmy dzisiajszego Kardynała, a ówczesnego Arcybiskupa naszego Ledóchowskiego, gdy z podniesionem w górę czołem szedł do więzienia cierpieć za sprawę, której był przedstawicielem; w świeżej też jeszcze mamy pamięci akt gwałtu dokonany na osobie jednego z poprzedników więźnia ostrowskiego, arcybiskupa Dunina, którego ten sam rząd za niezłomność i niewzruszoność przekonań w sprawie mieszanych małżeństw internował w fortecy kołobrzeskiej jako więźnia tak długo, dopóki potęga śmierci nie skruszyła rozkazu, wydanego przez króla, który sądził może, że jego rozkazy przeżyją nikłą egzystencyę swego twórcy....

A że mieliśmy więc już przykłady zamachów rządu na przedstawicieli Stolicy apostolskiej, — a że już witaliśmy i powróconego na łono kraju więźnia kołobrzeskiego i opłakiwaliśmy uprowadzonego ręką pruskich zbirów więźnia ostrowskiego, więc podwójnie umiemy odczuć i ocenić stałość przekonań Księdza Arcybiskupa Stablewskiego, gdy wystąpił w obronie religii i narodowości, napastowanej w bezczelny sposób przez berlińskich — karyerowiczów.

A odczuć i ocenić to Jego wystąpienie umiemy tembardziej, że widzimy na jak poważne niebezpieczeństwo się naraził. Dotychczas sprawa zniesienia polskich wykładów religii była zatargiem między społeczeństwem polskiem z jednej, a rządem pruskim z drugiej strony: z chwilą gdy ks. Arcybiskup w dobitny sposób zamanifestował swe stanowisko i tem samem niejako stanął na czele całego społeczeństwa, sprawa przyjęła postać zatargu rządu z Arcybiskupem, — zatargu, w którym cała falanga hakatystyczna swą wściekłość skieruje przeciw Jego dostojnej osobie.

Ksiądz Arcybiskup Stablewski wiedział o tem i — nie zawahał się postąpić tak, jak mu nakazywał obowiązek arcypasterza.

Cześć mu za to!

Wypowiemy tu otwarcie, co myślą o tym zatargu tysiące ludzi wszelkich warstw naszego społeczeństwa. Otóż myślą, że jeśli rząd niezwłocznie nie cofnie rozporządzenia Studta, to będzie musiał podjąć długotrwałą i ciężką walkę zaczepną przeciw księdzu Arcybiskupowi, bo zarówno obowiązek obrony zagrożonej wiary, jak i powaga Stolicy apostolskiej, nie pozwoli księdzu Arcybiskupowi cofnąć się na neutralne stanowisko. Walka ta, w której, jak w kulturkampfie, całe społeczeństwo weźmie żywy udział, naszym interesom narodowym na złe wyjść nie może, wzmacniając jeszcze bardziej spójność pomiędzy społeczeństwem a duchowieństwem.

Całe społeczeństwo, lud cały każdem drgnieniem serca będzie brał żywy udział w obronie wiary i narodowości naszej i zmobilizuje wszystkie swoje siły, wytęży całą moc swoją, aby dać dowód, że jest przecież granica, wobec której bezsilne są przynajmniej w tym przypadku wszelkie reskrypty Hohenzollernów i ministeryalnych wykonawców ich woli.

Nasz lud im tę granicę pokaże, aby dać dowód, że choć im wolno wszystko mówić, a nam nawet setnej części tego wypowiedzieć nie wolno, co czujemy, — to wszakże u nas natrafia na zaporę, która ich zamiary unicestwi i ich „czyny“ w proch rozbije.

Panu Studtowi zdawało się, że jest wszechwładnym panem nad nami i że jeśli jego cesarz mu nadał władzę, to ta władza już niema żadnych granic — nawet wobec kościoła.

Omylił się otóż. Lud nasz jest cierpliwy, ale wie jak zespolona jest dla niego wiara z narodowością i nie ścierpi zamachu na obie.

Czas już w istocie, aby pokazać tym—dyktatorom z przedpokojów cesarskich, że niewolno bezkarnie obrażać tego, co lud uważa za swą nieodłączoną własność i świętość! Czas pokaże, że ten, co świętokradzką dłonią poważył się chcieć odjąć ludowi to, co jest ludu, wśród złorzeczeń współbliźnich dokona swego marnnego żywota, tak jak go dokonali ci, co prowadzili kulturkampf.

Niedawno wyrzekł cesarz niemiecki, Wilhelm II, że „stary Bóg jeszcze żyje i jest jego sprzymierzeńcem“.

Wobec Boga jesteśmy wszyscy równi, a jak cesarzowi wolno było deklarować Boga za swego sprzymierzeńca, tak samo i nasze społeczeństwo dziś może równem prawem zawołać do Prusaków: Żyje jeszcze stary Bóg naszych ojców i praojców, który tę ziemię nam oddał w dziedzictwo, który pozwolił was, Prusaków, zetrzeć na proch na polach Tannenberga i krwią waszą zabarwić rzeki. Ten stary Bóg, co przodkom naszym dawał zwycięstwa na polach bitwy, a i wśród najgorszych przejść obrał sobie pierś wiernego ludu polskiego za azylum, niepozwoli, aby ludzie, co z obdzierania nas z najdroższych dóbr ludzkich profesyę sobie zrobili, uszli bez kary.

Każdy nowy krok rządu, skierowany przeciw naszym narodowym prawom i naszej wierze niezwłocznie się mści na rządzie samym. Każdy zamach na naszą religię, na nasz język coraz bardziej szerzy antymonarchiczne zapatrywania, budzi nienawiść do tego — obcego rządu i niechęć do tej — obcej dynastyi panującej. Kto na tem lepiej wychodzi: Prusy, czy polskość? *Vester.*

Głos matki Polki.

Nie tak to dawno temu, żeście Matki Polskie obradowały na wiecu w Poznaniu nad niedolą swą i dzieci swych i zagrzewały się do wspólnej pracy i do wspólnej obrony.

A przecież wtenczas jeszcze ten najdotkliwszy i najgorszy z ciosów nie był nam wymierzony; jeszcze się dzieci nasze nie potrzebowały uczyć prawd wiary naszej w niezrozumiałym dla siebie języku; najnowsze rozporządzenie ministra Studta teraz i w tym względzie zaprowadziło zmianę i pogorszyło znacznie nasze położenie i warunki wychowania naszej dziatwy.

Niechże Nam, Matki Polki, będzie to teraz bodźcem do tem żarliwszej pracy, do tem gorliwszego wychowania dzieci naszych w duchu czysto i głęboko polskim a szczerze katolickim.

Gdy się rozeszła wieść o nowej krzywdzie, jaka nas z rąk rządu spotkała,

w pierwszej chwili rozgoryczenia i bólu powstał dziwny projekt wystosowania petycyi matek do cesarzowej i apelowania do jej uczuć macierzyńskich.

Nie chcę i nie mogę tutaj nic mówić o cesarzowej niemieckiej, a królolowej pruskiej; może ona być najlepszą matką dla swoich pruskich książątek, ale nie łudźmy się przecież, aby mogła ona odczuć to wszystko, co czuje i nad czem boleje zakrwawione serce matki Polki.

A zresztą pomijam i ten wzgląd; lecz sądzę dość już było ze strony naszej upokorzeń i próśb, i nic żeśmy niemi nie zyskali; na prośby nasze i upokorzenia odpowiadają nam coraz to nowym uciskiem.

To też wyrzeczmy się raz już tej łagodnej drogi prośby, a postępujmy tak samo, jak z nami postępują i w zupełnej niezależności brońmy teraz z całym ogniem i zapałem języka swego, tradycyi swej dziejowej, naszej odrębności narodowej, jednem słowem naszej Ojczyzny.

A Ojczyzna nasza może być i powinna być dzisiaj w każdym domu polskim, bo „Ojczyzna jest wszędzie tam, gdzie biją wierne serca synów Polski.“

Matki Polki! Skoro teraz już wiecie, że w szkole dziecko nasze nie nauczy się modlić po polsku, tem bardziej jesteśmy zobowiązane — w domu nauczyć je pacierza. By zaś dziecię nasze stało się istotnie wiernym synem Polski, przyuczajmy je od maleńka modlić się za Ojczyznę codziennie, tak jak codziennie modli się za ojca i matkę, a tem najskuteczniej wpoimy w serce dziecka miłość polskiej Ojczyzny, którą sobie na życie całe zachowa; a wyrośnie z dzieci naszych takie pokolenie dzielne, z którem się ani pan Studt, ani żaden inny minister pruski nie upora.

Matki Polki wystąpiłyście niedawno dzielnie na wiecu, teraz niech każda tem dzielniej występuje w domu własnym, dokąd jeszcze brutalna pięść pruska nie sięgła, a stworzymy z domów naszych cały szereg niezdobytych twierdz...

Jak słyszę przygotowuje się teraz nowy wiec, niechże się zbierze na nim ogromna liczba do wspólnej narady i zachęty do dalszej pracy! *...ska.*

Przetrwamy!!

Szanowna Redakcya pozwoli, że zwyczajem, przyjętym na łamach gościnnej „Pracy“, zabiorę znów głos, a to w sprawie artykułów „Między młotem a kowadłem“.

Zapewne nietylko mnie, ale i innym wielu Czytelnikom nasunęło się spostrzeżenie, że autor tych artykułów niedogodne położenie geograficzne nasze pomiędzy Rosyą a Niemcami, zbyt pohopnie może przeniósł w sferę ogólnej polityki i całe nasze położenie wogóle, całą naszą przyszłość i istnienie przyrównał do położenia między młotem a kowadłem. Jak powiadam, będąc wzięci geograficznie w kleszcze, możemy przyrównywać nasze położenie do sytuacyi między młotem a kowadłem, i o tyle więc autor artykułów miał słuszność; ale jeśli chodzi o całość naszych politycznych stosunków, aspiracyi i nadziei, to nie sądzę, aby choć z najmniejszą dozą prawdy przyrównać ją można było do położenia, w którem już niema absolutnie wyjścia, lecz trzeba się zespolić albo z młotem, albo z kowadłem, t. j. zgermanizować się lub zrusyfikować. Postawienie kwestyi w ten sposób jest, zdaniem mojem, zasadniczo fałszywe. Należy nawet przeciwdziałać takiemu pojmowaniu naszego politycznego położenia. Nasz naród ma w sobie jeszcze tyle sił żywotnych, że nie znajduje się wcale a wcale w potrzebie zadawania sobie samobójczego pytania, od którego autor zaczyna swój artykuł: za kim się oświadczyć, za Rosyą czy za Niemcami?

Nie wierzę też wcale w to „przeznaczenie“, o którem autor wspomina, że pcha nas ono ku rozpłynięciu się w objęciach „matuszki Rosyi“. Owszem, wierzę mocno — a wraz ze mną wierzą równych mi Polaków miliony — że *przeznaczeniem Polski jest wyjść oczyszczoną i wolną od przywar narodowych i społecznych z tej niewoli wiekowej.*

Wśród wszystkich przejść naszego narodu w ciągu ostatnich stu lat jakby nić czerwona pomiędzy porywami siły a rozczarowaniami snuje się myśl: *przetrwamy!*

Tak jest! W najcięższej godzinie naszego losu, w najstraszniejszych chwilach, gdy jużby się zdawało, że kona duch narodu, powinno zawsze jaśnieć nam to słowo, mieszczące cały program w sobie: *przetrwamy!* My już przetrwaliśmy niejedno, czegoby inny naród o mniejszej sile żywotniej, nie przetrwał, — więc mamy prawo naszym wrogom w odpowiedzi na ich zabiegi wytępienia polskości rzucić w twarz dumne, a pełne doświadczenia słowo: *my przetrwamy!* My przetrwamy całą tę konstelacyę polityczną, która sprawia, iż słabe duchy porównywują nasze położenie do położenia między młotem i kowadłem. My przetrwamy i komisyę kolonizacyjną, i całego Studta razem z jego papierowemi cięciami w naszą stronę — tak jak przetrwaliśmy Flottwellów i zdradę pruską w r. 1848, i kulturkampf, i rugi bismarkowskie. Nadejdzie może czas, gdy oglądać będziemy ten młot niemiecki zdruzgotany i skruszony tak, jak gdyby z kruchej był gliny, — a może i kowadło kruchsze się okaże, niż wygląda. Nie nam rozpaczać, nie nam wybierać, co lepsze: czy germanizacya, czy rusyfikacya. My jeden mamy wybór — stać twardo przy sztandarze narodowym i nieść przed ludem oświaty kaganiec, rozpłomieniać serca wiarą, że to, czego miliony ludzi chcieć będą naprawdę a szczerze, to nastąpić musi.

My chcemy pozostać sobą — oto nasz program.

Ani krzty zrzeczenia się w jedną lub drugą stronę. A nawet więcej niż to. My nietylko chcemy pozostać sobą, t. j. nie utracić nic z naszej narodowości, ale chcemy wśród lat niewoli nabrać hartu ducha, umiejętności skrzętnego pracowania, poczucia równości obywatelskiej, zapoznania się z niebezpieczeństwami wszelkiego rodzaju i sztuki pokonywania ich upartą, znojną pracą.

Dziś nam się wydawać może, że znajdujemy się ściśnięci jak w kleszcze, wzięci jak między młot i kowadło. To prawda. Ale czy kto wie, co jutro przyniesie? Czy kto wie, czy to jutro nie oznacza wojny Rosyi z Niemcami, wojny, z której jedna lub druga strona wyjść musi zmiażdżoną, zdruzgotaną na miałki proszek?

A przecież naród, jak nasz, nad którego czołem nie zagasła gwiazda przyszłości, ale który owszem wierzy w swą przyszłość i każdem drgnięciem serca wsłuchuje się, azali nie nadeszła już godzina wybawienia — naród taki nie może planów swej egzystencyi łączyć z przemijającą kombinacyą polityczną, którą jutro lub pojutrze jak domek z kart wywrócić może.

A przytem nic nie wskazuje na to, aby chwila obecna miała być przełomową w życiu naszego narodu, aby była chwilą, kiedy trzeba się decydować, „które z dwojga złego wybierać“; owszem, naród

nasz wstąpił teraz w fazę potężnie rozwijającego się poczucia narodowego u podstaw, u korzeni, u ludu: a te symptomy każą nam zaprawdę tylko iść dalej w obranym kierunku, nie poddawać się żadnym ułudom, żadnej rozpaczy, żadnemu zniechęceniu. Te objawy mówią do nas raczej wymownemi słowy, że należy odczekać nadejścia tej burzy politycznej, która przejdzie się po Europie i wywróci parę tronów, — albo też oczekiwać spokojnie tej chwili, kiedy narodowe różnice i spory będą musiały ustąpić pola ekonomicznym interesom.

Lecz zdaje mi się, że kwestya *„Rosya — czy Niemcy“* pomimo to istnieje dla nas i jest nader aktualną; nie należy jej jednakowoż stawiać w zasadniczem powiązaniu z naszą egzystencyą narodową.

Kwestya prądów przyjaznych Rosyi stała się aktualną od czasu bankructwa polityki ugodowej, a z dniem każdym w miarę zaostrzania się stosunków naszych z rządem pruskim staje się coraz aktualniejszą. Należy ją jednakowoż postawić jasno, zrozumiale i nie łączyć jej z rzeczami, które nie pozostają z nią w żadnym związku.

Ilekroć w ostatnich czasach zdarzało mi się słyszeć zdanie, że lepiejby nasze losy się ukształtowały, gdyby Rosya zabrała Księztwo z częścią Prus wzgl. Ślązka, — tyle razy miałem to wrażenie, że oczekiwalibyśmy tej poprawy losu właśnie jako Polacy, ani nie żywiąc dla Rosyi żadnych specyalnych sympatyi ani nie myśląc się z nią asymilować, tak jak o tem nie myśli Królestwo. A to przeświadczenie o poprawie losu opierało się zazwyczaj na tej właśnie rachubie, że połączeni z Królestwem, silniejsi liczbą, inteligencyą i zasobnością, łatwiejbyśmy ustalić mogli nasz byt narodowy. Zapatrywanie to jest rozpowszechnione i nie powiem, aby nie miało za sobą pewnej — wobec prokuratora Rzeszy karygodnej — logiki. Pewnem też jest, że jeśli rząd pruski będzie dalej kroczył szlakiem antypolskiej polityki, to w razie wojny z Rosyą wkraczające wojska rosyjskie nie napotkają nieprzyjaznych twarzy w Poznańskiem i wogóle nigdzie gdzie Polacy zamieszkują, ale miłe powitanie wojsk wkraczających od tamtej strony granicy *nie będzie nigdy oznaczać, że znalazłszy się między młotem a kowadłem — wolimy zasymilować się* z tem ostatniem.

Pozostaniemy sobą: Przetrwamy! *Vester.*

Przypomnienie na czasie.

Sławy dobrych polityków nigdy podobno nie posiadaliśmy; jesteśmy zbyt łatwowierni, wygodni i dobroduszni, każdy nas w pole wywiedzie i często pono poświęciliśmy tłustego wróbla w ręku dla niepochwytnego gołąbka... na dachu.

Niedołęztwo — lub łagodniej powiedziawszy — niedomaganie to nasze nasuwa mi dziś żywo na myśl pan minister *Studt* zapowiedzią zniesienia resztek nauki języka polskiego w szkołach Wielk. Księstwa. I wtedy bowiem, gdy nas poprzednik jego, pan Bosse, uszczęśliwić miał tem wątpliwej wartości ustępstwem — poświęciliśmy dla urojonych zysków i różowych nadziei rzetelny interes narodowy, jaki się wówczas nam sam nastręczał.

Było to w roku 1893 — podczas nieszczęsnych owych wyborów, w których to walczyliśmy po raz pierwszy i zapewne po raz ostatni pod sztandarem partyi par excellence rządowej, gdyśmy to za cenę kilku milionów z naszych biednych wiernopoddańczych kieszeni podatkowych, ofiarowanych tak ochotnie na pomnożenie potęgi Niemiec, chadzali w łasce rządowej jak w słońcu i z dzikim rozmachem przy boku dzisiejszych hakatystów tłukli wszystkich oponentów rządu... Któż wtedy nie snuł u nas „złotych marzeń przędzy“? Tych, którzy jakoś nowego rzeczy porządku pojąć nie mogli i ostrzegali, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ etc., wyszydzano i za półgłówków i przekornych pesymistów uważano. Dla promienia łaski rządu byliśmy wówczas — gotowi sprzedać część duszy naszej, tak byliśmy pełni otuchy i nadziei; toć opowiadano sobie już półgłosem, że niebawem, lada chwila cały szkolny system germanizacyjny „w łeb weźmie“ — znów powstaną liczne polskie szkoły, w których bez wszelkiego mozołu i trudu z naszej strony sam rząd pruski wychowywać będzie dziatwę naszą na najlepszych polskich wiarusów i patryotów. Tylko sza! cicho! Bądźmy grzeczni i potulni, nie drażnmy rządu, nie psujmy sobie dobrej reputacyi *„u góry“*! Reszta już się znajdzie.

Nieszczęście chciało, że właśnie wtedy, gdy prądy ugodowe w Poznaniu dosięgły punktu kulminacyjnego, gdy się tu formalnie kąpano w lojalności w różnych na przyszłość nadziejach, odezwał się na Ślązku po raz pierwszy z wielką siłą i potęgą, nie krępowany już żadnemi względami *duch polski.* Tam nie miano najmniejszego powodu do podzielania tych hyperlojalnych uczuć, tam bowiem prąd germanizacyjny coraz szersze zataczał kręgi, coraz natarczywiej i gwałtowniej dobierał się do duszy i serca polskiego ludu i to nie tylko z ramienia rządu, ale i przez kościół, duchowieństwo i stronnictwo Centrum. Biednym Śląząkom żadna nie uśmiechała się nadzieja; nie mieli więc też żadnej przyczyny entuzyazmować się do projektów wojskowo-marynarskich i na te cele dawać ciężko zapracowane grosze. A właśnie wtedy także tak zwane śląskie centrum z panem Ballestremem na czele zachorowało — z innych wprawdzie pobudek — ale kubek w kubek tak samo na wielką ofiarność dla projektów rządowych, jak posłowie polscy. Powstało tedy drugie przeciwieństwo między polskim ludem śląskim i posłami centrowymi, obok duchowo-narodowego — materyalne, dotyczące właśnie projektów wojskowych rządu.

Była to chwila przełomowa, chwila, która mogła była rozpocząć nową epokę w dziejach Śląska i w stosunkach jego do innych dzielnic polskich. Zakotłowało się też tam na dobre. W Raciborzu zerwano zupełnie z Centrum: tam powstało nowe odrębne *polskie stronnictwo ludowe*, które, nie pytając wcale o zdanie panów centrowców i ich duchownych popleczników, postawiło własnego, *polskiego* kandydata w osobie byłego nauczyciela *Filipa Roboty.* I *Bytom* się ruszył, wprawdzie niechętnie, boć sędziwy „Katolik“ tak samo jak dzisiaj jeszcze — nie pojmował innych posłów, jak tylko *centrowych ze Śląska.* Lecz lud *zmusił go* poprostu do postawienia się sztorcem, gdy centrum zamierzało odebrać mu długoletniego, ukochanego posła, majora *Szmulę* i zastąpić go innym, sprzyjającym projektom rządowym, księdzem *Nerlichem.* — „Katolik“ nie zerwał z Centrum, popierał kandydaturę Szmuli właściwie pod hasłem opozycyjnej kan-

dydatury centrowej, jednakże gdy menerzy centrowi w Wrocławiu nie chcieli pod żadnym warunkiem uznać tej „dobrej jego woli“ — również znalazł się w kłopotliwem położeniu i był na najlepszej drodze do.... *polskiej* secesyi. I w innych okręgach wyborczych na Ślązku wrzało jak w kotle, lud stracił zaufanie do centrum i pragnął raz wreszcie wydobyć się z pod jego drogo opłacanej a mimo to bardzo gorzkiej opieki. Nieliczne inteligentniejsze koła na Ślązku z utęsknieniem zwracały wzrok swój ku Poznaniowi — oczekując ztamtąd rady i pomocy; była sposobność najlepsza wówczas do zawiązania bliższych stosunków, lecz — niestety — jeźli żywiono jakieś nadzieje, to rozwiały się one sromotnie...

W Poznaniu nietylko nie zrozumiano doniosłości tej chwili, ale nawet zrozumieć jej nie *chciano*. Pan Bosse powiedział podobno kilku posłom naszym otwarcie: Patrzcie co wasi „wielkopolscy“ agitatorowie wyrabiają na Ślązku, toż najwidoczniej pragną oderwać od Prus tę najcenniejszą zdobycz Fryderyka II. Jakże to mamy mieć zaufanie do waszej lojalności, kiedy tolerujecie takie agitatorskie „nadużycia“ i „wybryki“ w sąsiedniej dzielnicy?“ Słowa te tak przeraziły biednych posłów, że na gwałt zaczęli przy każdej sposobności dezawuować polską agitacyą na Ślązku. Poufnie co chwila posyłano na Ślązk gońców z prośbą i zaklęciem: „Siedźcież cicho, nie psujcie nam widoków pięknych i nadziei“ — w sejmie zaś nawet taki patryota, jak ks. Jażdżewski uważał za dobre wyprzeć się wszelkiej wspólności z agitacyą polską na Ślązku. O jakiemkolwiek zbliżeniu ani słuchać nie chciano. Zamiast wyzyskać tę jedyną w swoim rodzaju sposobność odepchnięto ją daleko, chwila, która miała zbliżyć obie bratnie dzielnice, bardziej je jeszcze rodzieliła.

Rezultat tej dziwnej polityki był też bardzo smutny. W Raciborzu kandydat polski *Robota* przepadł, gdy i Morawianie tamtejsi nie dopisali, w Bytomiu Szmula zwyciężył wprawdzie — ale jako zwycięzca szukał znów pojednania z Centrum. Pragnąca wielkiej łączności politycznej z Poznańskiem część inteligencyi ślązkiej i ludu zamilkła, zawiedziona, zrażona, zgorzkniała. Wszystko tam znów wróciło do dawnego porządku, z tą tylko różnicą, że zamiast przy następnych wyborach dziesiątków tysięcy głosów *polskich*, oddano dziesiątki tysięcy głosów..... *socyalistycznych*. Nawiązanie bliższych stosunków odsunięte zostało na wiele wiele lat w... niepewną przyszłość.

A Poznańskie jak wyszło na tem? Oto dostało „*polską*“ *naukę*, ale w takiej homeopatycznej i tylu zastrzeżeniami obarczonej formie, że wymarzonego pożytku w żaden sposób przynieść nie mogła. Za miskę soczewicy sprzedano prerogatywę starszego brata względem Ślązka, wywołano tym lojalizmem przesadzonym prąd hakatystyczny i na tysiączne narażono się przykrości, upokorzenia i niesnaski wewnętrze. Dziś zaś zabrał nam pan Studt nawet tę soczewicę i zupełnie, jak to mówią, osadził nas na... piasku.

Lecz może i lepiej, że tak się stało. Okupione tem arcylojalnem służalstwem wyjątkowe w dziedzinie szkolnej stanowisko Księstwa — usunięte teraz zostało. We wszystkich tych dzielnicach polskich zaboru pruskiego równe teraz w tej dziedzinie zapanowały stosunki, równa boleść, równa niedola. Daj Boże, aby ta równa niedola naprawiła teraz to, co nagrzeszono wtedy, aby zbliżyła do siebie więcej dzieci jednej Matki i z trzech odłamów zlała polskość pod Prusakiem w jedno silne, jednolite społeczeństwo polskie, tak pod narodowym, jak i *politycznym* względem!! *Z.*

Młodzież gimnazyalna w Krotoszynie.

Stosunki gimnazyalne w Krotoszynie, mianowicie co do nauki języka polskiego, nie przedstawiają się bynajmniej lepiej, jak w Wągrówcu i we Wschowie t. j. w zakładach, którym poświęciliśmy już obszerniejsze wzmianki.

Gimnazyum krotoszyńskie liczy obecnie nieco więcej po nad 300 uczniów, Polaków zaś jest w tem do 125ciu. Lecz, niestety, nie wytworzyła się pomiędzy nimi, pomimo tak pokaźnej liczby, żadna łączność; nawet pomiędzy uczniami wyższych klas niema tego poczucia i zrozumienia potrzeby łączenia się, jakie cechuje młodzież polską pod zaborem rosyjskim. Koleżeńskość pomiędzy dwoma przeciętnymi Polakami nie jest wcale większą, niż pomiędzy Polakiem a Niemcem, choć przecież Polaków powinny wiązać oparte na tle koleżeństwa dalej sięgające stosunki. Lecz wina, zdaniem naszem, nietyle leży po stronie młodzieży, ile po stronie rodziców. Rodzice nie dbają o to, aby gimnazyastom wpajać patryotyczne uczucie. Wogóle sprawa stosunku rodziców do młodzieży, widziana z punktu narodowych dążności. — to jeden z najsmutniejszych rozdziałów w opisie naszych stosunków w całem Księztwie.

O ile uczniowie gimnazyalni pochodzą z klasy drobnych urzędników (jest to najmniej liczna warstwa), o tyle naturalnie już przez charakter zajęcia swych ojców są zaniedbani na punkcie narodowym i „lojalni“ aż do obrzydzenia. Niewiele co lepiej się rzecz ma z młodzieżą z kilkunastu domów inteligencyi.

Inteligencya ta — a więc adwokat, lekarz, weterynarz, fizyk, budowniczy i t. d. lęka się popaść w podejrzenie „agitacyi polskiej“, aby nie ponieść uszczerbku materyalnego i zaleca młodzieży „ostrożność“, a właściwie *obojętność* wobec sprawy narodowej. Są to ci ojcowie, którzy, spotykając się raz w tygodniu gdzieś na partyi wista z kilku Niemcami, obawiają się, aby przy kuflu piwa jaki ich niemiecki kompanion nie zrobił im zarzutu: „Panie, pański syn — to agitator wielkopolski!“ Dlatego więc też ci ojcowie zwykli mówić swym synom: „Dorośniesz, to się dowiesz o wszystkiem; wtedy będzie czas i na uczenie się historyi i literatury polskiej, i na czytanie patryotycznych utworów.“

A rezultat z tego taki, że syn tak wychowany żeni się z Niemką i umrze a nie będzie czytał nawet Mickiewicza.

Do innej kategoryi należą uczniowie sfery włościańskiej. W tej im rodzice też nie dają zasobów patryotyzmu — bo sami ich nie mają; ale dają im twardą, polską naturę, w której drzemie to uczucie patryotyczne i dość jednego słowa, jednej zachęty w dobrą chwilę, a następuje uświadomienie; lecz niestety, rodzice włościanie oddając chłopców do szkół, marzą zazwyczaj tylko o tem, aby syn zyskał materyalne korzyści, aby wspiął się na wyższy szczebel społeczny; chłopak przejęty temi dążeniami mimowoli wybiera drogę najprostszą do gładkiego ukończenia nauk — a drogą tą jest przypodchlebianie się nauczycielom, jeżeli nie germanizacya. Więc też uczeń pod względem patryotycznym stojący tak wysoko jak przeciętny gimnazyasta z Królestwa jest u nas prawdziwą rzadkością.

Do obojętności na punkcie narodowym przyczyniają się też wprost skandaliczne stosunki, panujące w sprawie nauki języka polskiego. Nauka ta jest jakby umyślnie tak urządzona, aby przytłumić i zabić w młodzieży poszanowa-

nie języka ojczystego i miłość literatury rodzimej.

W Krotoszynie nie jest też lepiej, niż gdzieindziej; na 13tu tutajszych nauczycieli wyższych niema ani jednego Polaka. Zapewne zapytają czytelnicy: a któż wykłada język polski?! Oto wykłada go rodowity Niemiec, niejaki pan Glatzel, który przybył do Krotoszyna z Wągrówca i tam już zjednał sobie renomę rządowca-katolika. Pan Glatzel od roku 1898go „prowadzi“ gramatykę języka polskiego. Naturalnie uważa on za swe najświętsze prawo wykładać swój przedmiot po niemiecku, mniej więcej w ten sposób, w jaki Niemiec-profesor wykłada uczniom-Niemcom naukę, dajmy na to, języka hebrajskiego. Pan Glatzel ma też swój specyalny system nauczania. We wszystkich oddziałach podręcznik Molińskiego i Spychałowicza jest alfą i omegą umiejętności („der Disciplin“, jak mawia pan profesor). Bardzo ważną rzeczą jest podług metody p. Glatzla, aby uczniowie umieli poprawnie pisać po.... niemiecku. W tym celu zadaje się im tłomaczenie z polskiego na niemieckie. Kto przetłomaczy na poprawną niemczyznę, ten dostaje dobrą notę.... z polskiego. Dobry sposób wmówienia w ucznia, że, aby umieć jako tako po polsku, należy *przedewszystkiem dobrze* umieć po niemiecku!

Te lekcye trwają już długo — i nikt nie starał się, aby pomiędzy uczniami rozbudzić poczucie, że to, czego ich szkoła nie uczy, sami ze sobą uzupełnić muszą. Czy by to się nie powinien znaleźć jaki lekarz lub adwokat, albo kupiec Polak, któryby miał dobór książek polskich i wypożyczał je gimnazyastom, ogołoconym z nauki języka ojczystego? Jedyna akcya przeciwdziałania tym wykładom języka polskiego ograniczyła się na odezwie, wzywającej młodzież do nieuczęszczania na lekcye polskiego, do bojkotowania Glatzlowskich wykładów. Odezwa ta jednak, nie natrafiwszy na grunt podatny i przygotowany jakąśkolwiek choćby najliczniejszą łącznością, żadnych pozytywnych wyników w tym lub owym kierunku nie wydała.

Niepodobna też pominąć tu osoby pana dyrektora. Pan ten, idąc śladem „sławnych przykładów“ wszędzie wietrzy agitacyę wielkopolską, wszędzie, gdzie może, uszczupla prawa języka polskiego, jak to się stało np. z wykładami pana Glatzla. Gdy tylko uczniowie Polacy mają jakieś życzenie, zwłaszcza w sprawie wykładów polskich, tam dyrektor wsiada na wysokiego politycznego konia i z wyżyn antypolskiej polityki prawi uczniom morały, żeby nie dawali się wciągać do *„karygodnych rozruchów“* i nie ulegali „przywódzcom i agitatorom.“

Jedni się z tego śmieją, na innych to robi wrażenie. Malcy, do wiadomości których to dochodzi, sądzą niemal, że dość jednego skrzywienia pana nauczyciela, gdy uczeń rozmawia po polsku, a nie będą z czasem przyjęci do uniwersytetu.

Książki w tutajszej bibliotece gimnazyalnej stoją na wysokości swego zadania... germanizacyjnego. *Krotoszyński...*

„Jak usunąć nędzę.“

Pod powyższym tytułem ukazała się w Krakowie interesująca broszura w sprawie usunięcia nędzy, — tego bicza, smagającego do krwi nasze społeczeństwo. — Poniżej powtarzamy główniejsze ustępy tej broszury, czytelnikom zaś zalecamy, aby w sprawie tak ważnej głos w naszem piśmie zabierali.

Wszyscy mamy zwyczaj, kiedy się kończy rok obliczać bilans jego zestawiając debet z kredytem.

Gdybyśmy taki bilans zestawić chcieli i mogli, nie z jednego ubiegłego roku, ale z dziewiętnastu ubiegających wieków, to pomimo długiej listy wszelkich dorobków cywilizacyjnych i ekonomicznych, jakiemi ludzkość poszczycić się może, okazałoby się niezawodnie, że *debet* przewyższa *kredyt.* Wśród najwięcej atoli obciążających bilans pozycyi, bodaj czy nie najgroźniejsza ta, co wieczną hańbą okrywa czoła nas, synów tej ziemi, a której, złowieszczą aktualność stwierdzają raz wraz na naszych kronikach pojawiające się komunikaty następującej treści:

Dziś w nocy, za pomocą węgli, wdowa X, zaczadziła siebie i troje swoich dzieci nie mogąc ich wyżywić;

lub: w miasteczku W. stwierdzono kilka wypadków tyfusu głodowego;

lub: nauczycielkę szkoły ludowej znaleziono zemdloną. Badanie lekarskie wykazało, iż przyczyną omdlenia był parodniowy głód;

lub jeszcze: na folwarku E. wystrzałem z rewolwera odebrał sobie życie słuchacz prawa S., przyczyną samobójstw był brak środków do życia.

Więc przez tyle wieków pomimo wszelkich usiłowań i ofiarności, nie znaleźliśmy sposobu kategorycznego usunięcia nędzy. Przez tyle wieków znosiliśmy i znosimy pomiędzy sobą ginących z głodu, i z lekkiem sercem czytając podobne, jak wyżej przytoczone komunikaty, żyjemy dalej spokojnie, a przejmująca groza ich ani snu z naszych powiek nie spędza, ani posiłku naszego goryczą nie zaprawia! Zaprawdę dowodzi to, że mózgi nasze rozwijaliśmy więcej niźli serca! A przecież wypadki głodowej śmierci i wypadki samobójst powodowanych daremną walką o kawałek chleba, to są zbrodnie kamieniem ciążące na sumieniu każdego społeczeństwa, zbrodnie bezkarne, za które nikt nie odpowiada. Ale i któż ma odpowiadać?

Potrzeba tylko dobrej woli, nie jednostek niezawodnie, ale ogółu, potrzeba ogólnego odczucia odpowiedzialności, jaka leży na każdym z nas, za tych, co cierpią bez winy; potrzeba, żebyśmy wszyscy, wspólnemi siłami podjęli wielką akcyę samopomocy społecznej.

Mówię *samopomocy* w przeciwstawieniu do pomocy o charakterze dobroczynnym, która, wiemy, jak demoralizająco oddziaływa na człowieka, ubliżając jego dumie i godności. Zresztą z instytucyi dobroczynnych korzystają tylko najniższe warstwy ludności, a wszak nędza bywa i w warstwach wyższych — i to może nędza najtragiczniejsza.

Nędzę, jak wiemy, sprowadza przedewszystkiem niemożność pracy. Niemożność pracy zaś ma trojakie przyczyny: a) brak pracy, b) brak zdrowia do pracy, lub podeszłość wieku, c) brak przygotowania do pracy.

Żeby zatem bezpośrednie przyczyny nędzy usunąć należy: a) Tym co pracy nie mają, pracy dostarczyć. b) Tym co z powodu braku zdrowia lub podeszłego wieku pracować nie mogą, zapewnić byt bez pracy, lub też lekkie odpowiednie zajęcie. c) Tym, co nie mają przygotowania do pracy, dać możnosc tego przygotowania się, a tymczasem dać możność życia.

Z trzech tych kategoryi społecznych obowiązków wynika potrzeba trzech odrębnych kategoryi instytucyi. I tak a) Biura pracy dla poszukujących pracy. Bursy pracy dla regulowania pracy według popytu i podaży. b) Domy zdrowia dla chorych i rekonwalescentów. Przytułki dla starców i wysłużonych pracowników. c) Instytucye opieki nad dziećmi. Instytucye nad przygotowującą się do pracy a niezamożną młodzieżą obojga płci. Każda jednostka, czy to przez swoje zajęcie, uzdolnienie, czy przez swoje położenie społeczne, przynależy do pewnej grupy pracowników: jeden jest lekarzem, drugi rzemieślnikiem, trzeci nauczycielem, czwarty szwaczką, piąty wyrobnikiem itd.

Otóż każda taka grupa pracowników powinna mieć swoje stowarzyszenie, rodzaj Kasy wzajemnej pomocy tak jak je już dziś mają niektóre grupy.

Do Kasy wzajemnej pomocy powinna należeć każda jednostka z odnośnej grupy pracowników, i to o ile można — za małą opłatą. Natomiast każda Kasa taka powinna mieć bardzo wysokie uposażenie, aby mogła funkcyonować sku-

tecznie i wszystkim swoim nieznajomym członkom zapewniać w razie braku pracy możność utrzymania się przez czas bezrobocia, w razie choroby możność kuracyi; na starość pensyę itd. Jednem słowem zadaniem Kas wzajemnej pomomocy, byłaby zupełna opieka nad jej niezamożnymi członkami.

Przy tak zorganizowanej samopomocy społecznej, każda jednostka znalazłszy się chwilowo w potrzebie, wiedziałaby, gdzie się ma zwrócić, gdzie ma prawo żądać pomocy i gdzie jej tej pomocy odmówić nie mogą.

Ale teraz przejdźmy do najważniejszego i niezawodnie najtrudniejszego zagadnienia. Jak powstaje nędza, w jaki sposób zapobiegać jej w ten lub inny sposób — to kwestye drugorzędne, pierwszego znaczenia jest tu: zkąd czerpać środki dla zaspokojenia tych wszystkich potrzeb, dla zakładania i zaopatrzenia potrzebnych instytucyi.

Płacimy już podatki różne: na administracyę miast, na utrzymanie dróg, kolei, na szkoły. sądy, poczty itd. płacimy nawet i takie podatki, z których prócz klęsk, żadnych innych korzyści nie odnosimy, jak n. p. na utrzymanie armii. Płaćmyż jeszcze podatek jeden, dobrowolny na usunięcie nędzy ludzkiej. To podatek, z którego korzyści bezpośrednio osiągać będziemy wszyscy i moralnie i materyalnie.

Sposób opodatkowania następujący:

Od każdej wydanej sumy, przy każdem kupnie, czy to w sklepie spożywczym, czy w magazynie obuwia, czy u jubilera, czy w składzie nut lub obić, itp. płacimy podatek od 1-ej mar.—1 fen. od 2 m.—2 fen. itd., czyli kupując towar za 2 mk. płacimy 2 mk. i 2 fen. Tak samo przy płaceniu mieszkania, pokoju w hotelu, rachunku w restauracyi; tak samo przy nabywaniu dzieła sztuki — jednem słowem przy każdej transakcyi kupieckiej.

Jest rzeczą niezawodną, że czy zapłacimy za kapelusz n. p. 6 m. czy 6 m. i 7 fen. to już nikomu różnicy stanowić nie będzie. Taki podatek nawet najbiedniejszemu nie robi uszczerbku.

A teraz sposób zakładania podatku. Nieraz już zastanowiano się nad takim sposobem dobrowolnego opodatkowania się na różne cele, atoli rzecz rozbijała się zawsze o trudności składania tej groszowej daniny. Kiedy chodziło o większe sumy okazywało się zawsze, iż administracya takimi groszowymi kapitałami jest tak skomplikowana, trudna a przedewszystkiem tak kosztowna, że musiałaby pochłaniać dużą część. Otóż dla usunięcia takich komplikacyi, trudności i kosztów w zbieraniu groszowego podatku, proponuję wprowadzenie systemu, jaki obecnie stosowany jest w instytucyach pocztowych, tj. systemu markowego. Mianowicie: Każdy kupiec, restaurator, właściciel domu itd. ma przy każdej zapłacie wręczać kupującemu markę wartości odpowiadającej sumie kupna czyli przy kupnie za 5 mk. pięciofenigową markę, za 10 m. dziesięciofenigową itd., za którą to markę kupujący płaci.

Marki takie musiałyby być umyślnie w tym celu sporządzane, a przed wręczeniem kupującemu, stemplowane datą dnia, jak to czyni konduktor stemplujący sprzedany bilet pasażerowi, lub urzędnik pocztowy markę na liście. Jednem słowem system całkowicie odpowiadający systemowi urządzeń pocztowych, zatem łatwy i prosty.

Pomyślmy, ile instytucyi moglibyśmy każdego roku do życia powołać lub wyposażyć, ile nędzy usunąć!

A teraz zważmy jakiemi sumami moglibyśmy rozporządzać, gdyby podatek ten składały nietylko miasta, ale składał kraj cały!

W czyich rękach ma spocząć egzekutywa podatku, w czyich administracya zbieranych funduszów? Jak się porozumieć do tego?

Zwołajmy wiec przedstawicieli wszystkich części Polski, przedstawicieli wszelkich grup pracowniczych ad hoc wybranych.

Niech wiec ten będzie wielką manifestacyą woli narodu, niech będzie jego przyzwoleniem na dobrowolne opodatkowanie się, niech będzie pierwszym krokiem do organizacyi samopomocy społecznej. Taka organizacya nietylko ekonomicznie dźwignęłaby nasz naród, nie tylko stałaby się chlubą i podniosłą szkołą humanitarnych uczuć naszych, ale byłaby wielkim pomnikiem wszechludzkiej cywylizacyi XX-go wieku.

R.

Z TYGODNIA.

Ubiegły tydzień polityczny na szczęście żadnej mowy cesarskiej o Hunach lub barbarzyńcach nie przyniósł, natomiast wiadomość, że wojska sprzymierzonych wkroczyły już do Pekinu i uwolniły Europejczyków.

Komendę nad wojskami europejskimi obejmuje hr. Waldersee, który już jest w drodze.

Berliński „Militair-Wochenblatt“ oblicza, że mocarstwa sprzymierzone posiadają obecnie na głównym teatrze wojny, w prowincyi Peczili, 38,000 wojska z 214 działami. Udział pojedyńczych mocarstw jest następujący:

Japonia: 12 batalionów piechoty, 3 szwadrony konnicy i 4 baterye, razem 16,000 ludzi z 24 działami.

Anglia: 6 batalionów indyjskich, 4 szwadrony konnicy, 3 baterye i oddział piechoty marynarskiej, ogółem 6 tysięcy ludzi z 18 działami.

Stany Zjednoczone: 6 batalionów piechoty i 1 baterya, razem 2,900 ludzi z 6 działami.

Francya: jeden pułk piechoty marynarskiej, 3 baterye z Tonkinu i załogi okrętowe, ogółem 2,600 ludzi z 18 działami.

Niemcy 300 żołnierzy okrętowych i 4 działa; Włochy i Austrya po 140 ludzi.

Odliczając na straty i załogi, pozostawione w miejscowościach położonych pomiędzy Tientsinem a Taku, 8,000 ludzi. „Milit. Wochenbl.“ dochodzi do wniosku, że w Tien-tsinie i na drodze do Pekinu znajduje się około 30,000 ludzi.

Mniej więcej w połowie bm. przybędzie do Tien-tsinu 2,500 Niemców z 6 działami, 2,080 Francuzów z 12 działami i 6,000 Japończyków z 30 działami. Ogółem więc armia sprzymierzona będzie mniej więcej za tydzień liczyła 40,000 ludzi z 162 działami.

Oddziały główne nadejdą do Peczili dopiero pod koniec bm. i w początkach września. Mianowicie Niemcy wysłali do Chin 11,300 ludzi z 34 dział., Francya 13,000 ludzi z 26 działami, Włochy 1,000 ludzi z 4 działami, Anglia około 6,000 ludzi. Stany Zjednoczone także wyślą może jeszcze kilka tysięcy ludzi do Azyi. Czy Japonia powiększy jeszcze swoje siły zbrojne w Chinach, nie wiadomo. W każdym razie mocarstwa będą posiadały pod koniec września w dzielnicy Peczili conajmniej 80 tysięcy ludzi z 280 działami.

Oprócz tego znajduje się silna armia rosyjska nad granicą mandżurską, a na południu w dolinie Jangsekiangu blizko 3,000 Anglików. Francya zamierza wysłać w te strony, dla obrony swoich interesów, również znaczny oddział wojska.

Zdaje się, że zanim hr. Waldersee nadjedzie do Azyi, już wojna będzie skończona.

W wstrząsających chwilach my, Polacy, umiemy porozumiewać się bez słów...

Od serca do serca idzie wtedy wielkie, gorące uczucie, które każdemu z nas w głębi duszy mówi, co się stało, i zrobić należy.

Dlatego i my dziś nie będziemy się rozwodzić długo, ale zwracamy się do rodaków z tem wezwaniem:

Każdy z nas czuje i wie, jak olbrzymie znaczenie, nietylko religijne, ale w pierwszym rzędzie narodowe, ma Częstochowa.

I ta Jasna Góra poniosła obecnie dotkliwą klęskę — zeszpecona, zubożona została przez straszny pożar!...

Dziś zatem *obowiązkiem każdego członka społeczeństwa naszego jest przyczynić się, aby jak najrychlej jeszcze świetniejsza, jeszcze wspanialsza z gruzów powstała!*

Niechaj składki płyną obficie a rychło, nietylko jako ofiara na klasztor Jasnogórki, ale jako świadectwo żywotności, jakie sami sobie przez nie wystawimy!

Najwyższy sąd administracyjny świeżo orzekł, iż policya nie ma prawa mieszać się do nauki prywatnej, i że do ośmiu dzieci wolno jest uczyć przedmiotów, nieobjętych planem szkoły ludowej. *Il y a encore des juges à Berlin.* Zaczem praca domowa, nauka domowa nam pozostaje jedynie, aby ocalić duszę, ocalić umysły dziatwy naszej.

Nie wątpić nam, że ochotników w tem świętem zadaniu nie zbraknie; a ztąd nowy, najsilniejszy węzeł połączy wszystkie warstwy społeczne. Wielkopolski lud nad inną pomoc ceni sobie jałmużnę oświaty: kto dzieci nauczy pisać i czytać po polsku, więcej sobie zyska przychylności i wdzięczności, aniżeli najbogatszym darem. Pożądanemi są jak najtańsze wydawnictwa elementarzy, katechizmów, podręczników do historyi świętej, książeczki z obrazkami i t. d., aby ułatwiać poświęcenie jednostek, a nagradzać postępy dzieci. Tu inne kraju dzielnice mogą skutecznie dostarczyć pomocy biednej wielkopolskiej dziatwie. Ale praca ta domowa o tyle będzie skuteczną, o ile pozostanie cichą. Nienawiść bo nie zasypia i gotowa nowe sposobić zamachy i upiętrzyć przeszkody.

A każdy dzień przynosi ich nam sporo. Oto znów zapowiedziany oddawna „Zlot Sokoli“ wywołał arbitralne postanowienie, zabraniające wystąpienia w mundurach stowarzyszenia. Wolno gimnastykom niemieckim, wolno uniwersyteckim związkom odznaczać się i wyróżniać strojem, czapką i t. p., tylko Polakom takie zewnętrzne odznaki stowarzyszeń zostały wzbronione. Już raz policya przed kilkunastu laty szykanowała piórka u czapek sokolskich. Skutkiem tego cały pochód przeciągnął przez miasto z gołą głową. Takie codzienne dokuczliwości powszednim u nas chlebem, i bodaj skuteczniejsza gimnastyka charakteru od gimnastyki ćwiczeń ciała więcej nam przysporzyć gotowa hartu. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Opublikowane niedawno temu sprawozdanie radcy Wittschiera z Poznania pozwala nam ogarnąć złowrogie postępy kolonizacyi niemieckiej w ziemiach polskich. Do dnia 19-go lipca b. r. komisya kolonizacyjna nabyła 230 większych majątków i 60 gospodarstw chłopskich, ogółem 142,300 hektarów, w cenie 96 milionów marek.

W tej liczbie z polskich rąk wykupiono 80,000 hektarów. Rozparcelowanych jest już 210 majątków. Zrazu osiedlano tylko po 200 rodzin rocznie, obecnie zaś liczba ta się podwoiła. Koszta budowlane pochłonęły przeszło trzy miliony, za które wzniesiono przeważnie zbory ewangelickie, domy modlitwy oraz zagrody dla protestanckich pastorów. Słowem — pierwsze sto milionów już prawie wydano. Powoli zabiera się kolonizacya do drugiej setki milionów, aby z ich pomocą znowu powykupować ziemię polską.

Przytaczając powyższe fakta, korespondent poznański krakowskiego **„Czasu“** robi następujące uwagi o charakterze ogólniejszym:

„Obliczywszy dokładnie dotychczasowe cyfry osadnictwa, przytoczone sprawozdanie ocenia dalej przyrost stąd wynikły niemieckiej ludności na 26,000 dusz. I znów naprzeciw tej groźnej cyfry, lud Wielkopolski krzepki i mnożny jak żaden inny, stawia wał ochronny liczbą dzieci swoich, jakby chciał odeprzeć przypływ germański wzrostem sił polskich. Dość zajrzeć pod nasze strzechy, aby się przekonać, że przeciętnie potomstwa każdego stadła bywa dziesięcioro do czternaściorga dziatek. Stanowią one nietylko siłę polskiego żywiołu, lecz i materyalną siłę każdej pojedyńczej rodziny. Im więcej rąk do pracy, tem obfitsze zarobki, tem szybszy wzrost dobrobytu kmiecego.

„Przyszłość dziś zawisła od matek, a w porządku materyalnym i od niewieściej skrzętności zależy. Przy niejednej nowej ruinie lub utracie ziemi polskiej powtórzyć przychodzi: *Ou est la femme?* One też roztrzygają najczęściej o utrzymaniu się przy ojcowiźnie. Rządnością, zabiegliwością i pracą, ileż Wielkopolanek przymnożyło dziś mężom środków, współpracowało w szczytnem zadaniu ocalenia ziemi ojczystej od wrogiej grabieży. Postęp pod tym względem jest ogromny, postęp pracy, postęp oszczędności. — Owszem, powiedzielibyśmy, że tu płeć słabsza silniejszą się być okazuje — i że często własną czynnością i trudem, wynagradza niedołęstwo lub zapobiega skutkom lekkomyślności męża. Najpomyślniej, gdy obustronna praca usiłuje zabezpieczyć całość ojcowizny. Pod tym względem podziwiać nieraz przychodzi pomysłowość i przemyślność wielkopolską.

„Z wszystkiego tu umieją dziś ciągnąć dochody. I tak znamy włości, gdzie z polowania bywa do 15,000 marek dochodu za sprzedaną zwierzynę. Trawnik przed okazałym pałacem, na siano wydzierżawiany, daje rocznie do 300 marek dochodu. Produkta kobiecego gospodarstwa starczą niejednokrotnie na utrzymanie domu i opędzenie kosztów wychowania dzieci. Ogrody stały się tu źródłem poważnych dochodów, oszczędności się ogólnia, a wobec trudności życiowych, życie towarzyskie zamiera i gaśnie, zastąpione nieomal wyłącznie rodzinnem.“

Zwrot ten nie byłby w swych skutkach niebezpieczny dla społeczeństwa, gdyby tylko zawsze to życie w obrębie rodziny nosiło wybitnie narodową cechę, gdyby matki-Polki zawsze pamiętały, że na ich barki złożyło społeczeństwo cały ciężar narodowo-patryotycznego wychowania dzieci. Myśl ta tem częściej i tem dobitniej występuje na pierwszy plan dyskusyi w sprawach publicznych, im częstszymi są ciosy, przez dłoń nienawistną wymierzane przeciw ukochanemu językowi ojczystemu. Germanizatorom zawadzają nawet pojedyńcze słowa polskie na szyldach. Donoszą o fakcie takiego zaślepienia rasowego z Koźmina w następnej korespondencyi do **„Gońca Wielkopolskiego“**:

„Zawadzał hakatystom na szkole naszej elementarnej napis polski „Szkoła katolicka“, więc kazali go w ostatnich dniach zamazać!

„Tyle już rzeczy większej dla nas wagi niż ów napis zniszczyła ręka wychowańców Bismarcka, że nas już żadną choćby najdziwaczniejszą sztuczką swą w podziw nie wprawią.

„Usunięcie jednak napisu dotknęło nas do żywego ile, że przyszedł nawet nakaz od landrata, aby napis ten wyrąbać, mógłby bowiem deszcz farbę spłukać i napis znówby się uwidocznił.

„Protest w sprawie tej z naszej strony pominie pewnie wyższa władza milczeniem. Nic to nie szkodzi, wiemy, że hasłem dzisiejszej Europy cywilizowanej jest „siła przed prawem“, zawsze jednak zostanie nam nadzieja, że nie tak łatwo wyrugować ducha polskiego z serc polskiej dziatwy, jak zamazać napis polski na szkole.

„Owszem nowy ten fakt posłuży niezawodnie tym rodzicom, którzy dotąd jeszcze nie przejrzeli, że od szkoły nic już spodziewać się dla naszej dziatwy nie należy, za pobudkę do samopomocy.

„Zdaje się jakoby Pan Bóg użył naszych wrogów za narzędzie do zniszczenia owego napisu i chciał nam przez to powiedzieć: „Patrzcie oto, rodzice, dozwoliłem na zamazanie napisu na szkole waszej, aby was w błąd nie wprowadzał, jakoby tu jeszcze dzieci wasze uczono w ojczystym języku czytać, pisać i mnie, Boga chwalić. Nie liczcie na nauczycieli, którzy za to właśnie gratyfikacye pobierają, że wspierają niemczyznę! Na was samych kładę obowiązek nauczania dzieci i do modlenia się w języku ojczystym.“

„Matko Polko, ty przedewszystkiem winnaś słowa te, którémi Pan Bóg tak wyraźnie do ciebie mówi, wziąść sobie do serca. Nie możesz się niczem wymówić od nauczania dzieci języka ojczystego, bo to twoim świętym obowiązkiem.

„Jeżeli, co daj Boże, zniszczenie napisu pożądany skutek przyniesie, natenczas kpić sobie z panów hakatystów możemy“.

Na każdy cios wymierzony na naszą narodowość, odpowiadać powinniśmy spokojną, lecz stanowczą obroną, powinniśmy zdwajać nasze usiłowania, a wtedy daremne stają się zabiegi wrogów. Społeczeństwo nasze nie powinno się przerażać byle jakim reskryptem, bo ma w sobie dość siły, aby drogą samopomocy unicestwić szkodliwe dla polskości wpływy germańskie.

Z powodu reskryptu pana Studta pisze **„Dziennik Poznański“**:

„Nowy cios, jaki z łaski pana ministra oświaty spadł na naszą dzielnicę, wywołał od razu w łonie naszego społeczeństwa straszne, ale usprawiedliwione

oburzenie. A to oburzenie rośnie z dniem każdym i wzmaga się, gdy szkoła zaczyna rozporządzenie ministeryalne zamieniać w czyn. Nic dziwnego, że rozgoryczenie, panujące w rodzinach naszych, udziela się i dzieciom. Bezwiednie przejmują one z serc rodzicielskich owe uczucia, jakie rodzić się muszą w każdym człowieku, doznającym na każdym kroku, bez winy, upokorzeń i krzywdy. Poczucie doznanej krzywdy i chęć biernego oporu wobec krzywdzących rozporządzeń zamanifestowały się dobitnie w owych przypadkach, o których donosiliśmy w ostatnim numerze „Dziennika“, gdzie dzieci, pomimo wezwania nauczycieli, nie chciały mówić „Vater unser“, kiedy w domu mówią uczciwie w języku ojczystym swój pacierz.

„Najwięcej odczuwają ten cios nasze matki. Słyszeliśmy straszne skargi z ich ust na krzywdę, jaka się dzieje ich dzieciom. Donoszą nam i to, że niektóre z nich podjęły myśl udania się w tej sprawie z prośbą do cesarzowej. Przecież matka — tak rozumują — zrozumie ból macierzyńskiego serca i ujmie się za biednemi dziećmi, które przymusza się do nauki religii nie w ojczystym języku. Chcą zatem owe matki, które uważają za swój święty macierzyński obowiązek, nie spuszczać z oka religijnego wychowania swoich dzieci i w tym celu gotowe są wyczerpać wszystkie środki obrony, zorganizować jakieś wspólne podanie do cesarzowej, aby raczyła się wstawić do swojego królewskiego małżonka za tak ciężko dotkniętemi matkami i dziećmi. Mamy więc petycyą do cesarzowej — lecz czy i ten apel pomoże?

„Ponieważ zaś w wyższych klasach naszych szkół żeńskich udzielają nauki religii księża, którzy muszą i powinni znać tętno swojego społeczeństwa, i którzy, jak mocno ufamy, nie chcieliby się przenigdy w tak zasadniczej sprawie narazić temuż społeczeństwu, dlatego z góry wyrażamy to przekonanie, że nie będąc urzędnikami państwowymi, a więc z własnej woli, nie wyrządzą mu tak wielkicj krzywdy moralnej i nie przyłożą ręki do dzieła, które ludność polsko-katolicką napełnia wielkiem oburzeniem. Z uczuciami i przekonaniami całego społeczeństwa nie będą oni, chcieli stanąć w sprzeczności, przez co nie tylko podkopaliby powagę i znaczenie swoje, lecz nadto wystawiliby swoją sukienkę duchowną jako tarcz do pocisków i zaczepek.“

Podzielając nadzieje „Dziennika Poznańskiego“ i będąc pewni, że nasze duchowieństwo nie da się użyć za narzędzie germanizacyi i że niemiecką nauką religii nie rozpocznie nowej zupełnie fazy w naszych politycznych i społecznych stosunkach, z obrzydzeniem cofamy się przed projektem wysyłania jakichkolwiek petycyi do cesarza, albo cesarzowej. Precz z poniżającemi petycyami!

Polskie matki, nie zapominajcie, że od was tylko zależy dać dowód, iż utrzymanie naszej narodowości nie od łaski wrogów zależy! To, co jest naszem prawem — tego się domagamy, a jeśli nam to odbierają, to nie poniżajmy się przynajmniej bezowocnem żebraniem łaski.

My prawa chcemy, nie łaski!

My na skasowanie języka polskiego w szkołach czynem, pracą, zdwojonem staraniem krzewienia patryotyzmu u dzieci odpowiedzieć winniśmy, a nie petycyą, która jest niczem innem, jak małodusznem skomleniem i tarzaniem się w prochu, jak pies się korzy u stóp swego pana, który go wybił.

Precz z petycyami! *B. M.*

Między młotem i kowadłem.

(Ciąg dalszy.)

Drugą siostrzycą kradzieży jest kłamstwo. W Rosyi ta trójca żyje w przykładnej zgodzie, jak kochająca się rodzina.

Kłamie tam pijany, kłamie trzeźwy; klamie carowi, kłamie przyjacielowi, kłamie żonie, kłamie panu, kłamie światu, kłamie nauce, kłamie wreszcie sam sobie, kłamie księdzu i Bogu.

Że księdzu kłamie, tego mu wcale za złe brać ani się też dziwić nie można. Ukazem bowiem carskim księża są zobowiązani zdawać raporta ze spowiedzi, parafianie zaś zobowiązani do spowiedzi przystępować, co zresztą kosztuje tylko 5 kop. Za tak nizką cenę warto grzechy z barków zrzucić. To też o kim ksiądz zda raport, iż u spowiedzi nie był, tego czeka sroga kara, co się u nich nazywa tolerancyą. Każdy więc czy chce czy nie chce w imię tej tolerancyi do spowiedzi iść musi. Ale jeśli coś przeciw rządowi choćby tylko myślą zgrzeszył, czyż będzie tak naiwny i szczerze wyzna prawdę, skoro wie, że to pachnie karą, kłamie więc.

Ztąd pop zepchnięty do znaczenia policyanta, zamiast szacunku, odbiera pogardę. Gdy go kacap przypadkiem spotka na drodze, poczytując to za złą wróżbę, spluwa 3 razy, aby nieszczęście zażegnać.

Nie dziw więc, że kłamie popu, skoro go za swego wroga uważa; ale jakżeż może Bogu kłamać?

Niech na to odpowie następująca powszechnie znana historyjka:

Żołnierz kupuje świeczkę i niesie ją do cerkwi jako ofiarę „Siomce“ na intencyą, aby się za jego wstawieniem powiodła zamierzona kradzież konia. Nadto przysięga uroczyście, iż połowę odda „Siomce“ na cerkiew.

Jakoż protekcya pomogła. Ś. Siomka bowiem, jako prawdziwy Moskal, jest także honorowym i gdy weźmie łapówkę, z pewnością użyje całych swych wpływów, by wszystko uczynić, co w jego mocy. Zresztą wiedział dobrze, iż mógł się narazić na wymyślanie. Wprawdzie i jemu służyłoby w takim razie prawo odpłacić pięknem za nadobne, ale pocóż do tego doprowadzać, kiedy lepiej żyć w zgodzie, działając wspólnie. A przytem musiałby chyba zwrócić „wziatkę“, a zwracać, to rzecz nieprzyjemna. Inaczej zaś przez osłabienie zaufania interes by ucierpiał. Wolał więc dopomódz.

Żołnierz tedy za jego przyczyną konia ukradł. Żal mu się jednak zrobiło dzielić z Siomką. Za co? Że on tam siedzi sobie na obrazie, toć nie ma krzywdy, bo się nie napracuje, świeczki mu znoszą, jasno mu — czegoż więcej potrzeba? Ma dosyć. Ale tak wprost go okpić i przysięgi nie dotrzymać, to nie uchodzi. Zresztą przecież jeszcze nieraz wypadnie o protekcyą prosić — nie można go więc rozgniewać. — Trzeba dotrzymać słowa — ale tak, aby był i wilk syty i owca cała. A to przecie możliwe, bo od czegóż sposoby?

Prowadzi tedy żołnierz konia na sprzedaż, ale razem z kogutem. Za konia ceni tylko 10 kopiejek, a za koguta 100 rubli. Amatorów więc na konia było wielu, ale żołnierz nie w ciemię bity, oddzielnie go sprzedać nie chce, tylko razem z kogutem. Śmieją się z niego, a on z nich, bo wiedział, co robi. W końcu ktoś zgodził się na ten warunek, boć mu było wszystko jedno. Żołnierz tedy pieniądze za koguta do kieszeni schował, a połowę za konia, t. j. 5 kop. stosownie do umowy, zaniósł Siomce — i była zgoda.

Czyż to nie głowa do interesu, skoro nawet świętego umiał okłamać!

Lecz okłamać cara i siebie samego wyda się może niepodobieństwem. — Bo któż się ośmieli cara okłamać? A jednak to powszechne. Poprzestanę tu na jednym fakcie, którego sam byłem naocznym świadkiem w sali sądu wojennego. Stawał żołnierz oskarżony o kradzież zwyczajną. On sam jednakże stanowczo twierdził, iż popełnił kradzież nie zwyczajną, ale z włamaniem.

Wyjaśnić muszę, iż kradzież zwyczajna pociąga za sobą lekką karę, gdy tymczasem kradzież z włamaniem, grozi pozbawieniem praw i zesłaniem do rot karnych

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Arcybiskupi
Gnieźnieńscy i Poznańscy.

(Dokończenie).

Arcybiskup dr. Floryan Stablewski, herbu Oksza, urodził się dnia 16-go października r. 1841 w Wschowie. Uczęszczał do gimnazyum w Trzemesznie, potem był w seminaryum duchownem w Poznaniu, następnie zaś studyował w Monachium, gdzie też został promowanym na doktora teologii. W r. 1860 otrzymał święcenie kapłańskie. W r. 1873 został proboszczem we Wrześni i jako takiego mianowano go wkrótce szambelanem papiezkim i pronotaryuszem apostolskim. Od roku 1876—1891 należał jako poseł do pruskiego parlamentu, a po płynnym i wytrawnym sposobie mówienia poznać w nim zaraz obok wymownego kapłana wytrawnego parlamentaryusza. W r. 1891 został mianowany Arcybiskupem Gnieźnieńsko-Poznańskim i tak przejął stanowisko, które zapewne należy do najtrudniejszych w obecnych czasach.

Kto nie zna bliżej ks. Arcybiskupa Stablewskiego, ten nie może nabrać właściwego pojęcia o tym mężu wielostronnym o głębokiem wykształaceniu, który będąc duchownym, jest zarazem uczonym artystą. Sądził on, że zostając arcybiskupem, skończył razem z złożeniem mandatu poselskiego, swoją karyerę polityczną, ale gwałtem prądy stronnicze usiłują nieustannie wciągnąć go w wir polityczny. To też potrzeba mieć niezmiernie wiele energii i doświadczenia, aby tak zachować całą powagę swego stanowiska, jak zachował ją ks. Arcybiskup.

Trudności stanowiska naszego Arcypasterza w ostatnich mianowicie dniach występują tem jaskrawiej i dobitniej. Wobec reskryptu ministeryalnego, znoszącego polski język przy nauce religii, znalazł się nasz Arcybiskup w nader trudnem i przykrem położeniu.

Smiałem swem, a stanowczem wystąpieniem wobec pruskiego ministra oświaty i skierowanym doń protestem dał nasz Arcypasterz dowody, że umie bronić praw sobie przynależnych i dobra powierzonych sobie dyecezyan. Widzimy w nim godnego następcę dawnych prymasów polskich i ostatnich naszych polskich Biskupów jak Dunin i Ledóchowski.

Oby Najwyższy ukochanemu naszemu Pasterzowi sił jeszcze na długo użyczał do jego zbożnej i błogosławionej pracy!

M. P.



Najprzew. Ks. Arcybiskup w swej pracowni w Poznaniu.

U płonącej wieży.

Pięcowiekowe dzieje klasztoru i kościoła na Jasnej Górze, opromienione bohaterstwem ks. Kordeckiego, uwiecznione mistrzowskiem piórem Sienkiewicza, przez każdego bogobojnego Polaka na pamięć umiane — zyskały dzień jeden, dzień historyczny.

Kronikarz zapisze jego zgrozę, ale pomimo całej obrazowości słów, jakich do tego dobieże, nie zdoła odtworzyć tego potężnego wrażenia, jakie dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, dnia 15-go sierpnia 1900-go r., wyrył w dziesiątkach tysięcy serc pobożnych wierzącego i wiernego ludu, który, zapalony w najdroższych swoich religijnych uczuciach pierwszą iskrą pożogi, stanął murem własnych ramion i piersi, niosąc siły i życie ku ocaleniu przybytku „Panny świętej, co Jasnej broni Częstowy i w Ostrej świeci Bramie.“

Dzień to był historyczny — rzekliśmy — więc postaramy się z możliwą dokładnością upamiętnić go na karcie „Pracy.“

* * *

Po znojnym i rojnym dniu odpustu t. zw. „warszawskiego“ dla znacznej przewagi, jaką mają tradycyjnie mieszczanie warszawscy, pielgrzymujący, wśród ogółu pątników, do Częstochowy na d. 15-ty

Wystawa paryska.

Paryż, 20-go sierpnia.

Paryska rada miejska zawsze brała czynny udział w wystawach powszechnych, nie żałując kosztów ani starań. W tym roku „Pałac miasta Paryża“, kosztował nie mniej jak 3 miliony franków. Trzeba wyznać jednak szczerze, iż ogromny gmach, wybudowany na prawym brzegu Sekwany, nie wznosi się po nad zwykłą banalność, i wśród innych, tak pięknych budowli wystawowych, nie zwraca wcale na siebie uwagi.

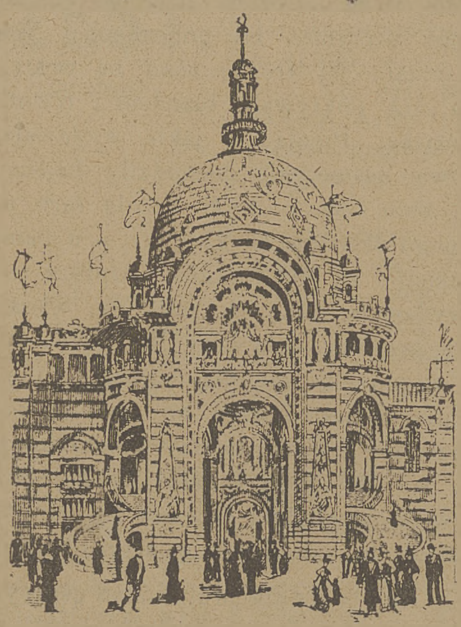
Ale wnętrza nienależy pomijać. Na parterze urządzony został ogród, pośrodku którego szumią wody wielkiej fontanny, zdobne w postaci alegoryczne. Na tle zieleni krzewów odbijają się wdzięcznie grupy i figury marmurowe. W jednym z kątów, — dlaczegóż nie na pierwszym planie? — kryje się gliniany pierwowzór „Tańca“, owej słynnej grupy, która, wykuta w marmurze, zdobi fasadę opery i stanowi wieczny pomnik geniuszu Carpaux. W około ogrodu biegną dwie sale prostokątne, zawierające statystyki, tablice graficzne i objaśnienia różnych urządzeń miejskich w stolicy Francyi.

Dalszy ciąg tej wystawy odnajdujemy zresztą i na pierwszem piętrze; dla specyalistów będzie ona niewątpliwie interesująca. Niefachowców zajmą bezwątpienia więcej zbiory, które tam zgromadzono, a które czynią z owych kilku sal, jakby mały oddział muzeum Carnavale'ta. Kolekcye miejskie i prywatne nadesłały najcenniejsze okazy, przeważnie dotychczas publiczności nieznane. Królowa Wiktorya pochwaliła się medalionami z bronzu, które kiedyś zdobiły pomnik Ludwika XIV na placu Zwycięstw. Dwór rosyjski przysłał stare akwarele Percier'a i Fontain'a, wyobrażające widoki dawnego Paryża. Najciekawszy jednak zabytek zawdzięcza to czasowe muzeum cesarzowi austryackiemu, który nadesłał kolebkę oryginalną nieszczęśliwego syna Napoleona I, króla rzymskiego. Kolebka ta, wykonana według rysunków Proudhon'a, ofiarowana była „Orlęciu“ przez miasto Paryż. Dziś, zwłaszcza w epoce wielkiego powodzenia sztuki Rostand'a, mebel artystyczny budzi powszechne zainteresowanie.

Ileż innych wspomnień! Portrety Maryi Antoniny, Buffon'a, Mirabeau, pani Tallien, Dubarry (kochanka królewska, równie słynna z piękności jak ze złego wychowania), — obraz David'a, przedstawiający zamordowanie Marat'a w kąpieli... Arkusze dziennika *l'Ami du Peuple*, którego okrutny trybun był redaktorem, leżą rozproszone około wanny. Opodal jeden z eksemplarzy tej gazetki splamiony krwią Marat'a, można zobaczyć w oryginale.

W nagromadzeniu tych zabytków uderza jednak dziwny — może umyślny — bezład. Obok przedmiotów z czasów rzymskich, kiedy Paryż nosił łacińskie miano Lutecyi, portrety Henryka Rochefort'a i Sary Bernhardt. Ktoby chciał obrazowo zapoznać się z historyą miasta — światła, tutaj nie dopnie celu, lecz niech nie żałuje czasu na odwiedziny muzeum Carnavalet'a, mieszczącego się w starym pałacu z XVI wieku, który zamieszkiwała kiedyś pani de Sevigné. Muzeum to, założone w roku 1867 przez barona Hausman'a a znacznie powiększone w ostatnich czasach, zawiera wszystkie najcenniejsze zabytki, dotyczące życia Paryża przez długie wieki. Jest to, że tak powiem, ogromna panorama dziejowa, której poznanie dopomaga do zrozumienia przeszłości i teraźniejszości stolicy Francyi.

* * *



Pałac miasta Paryża.

Zwiedzenie „Pawilonu włoskiego“ opłaca się sowicie.

Jest to właściwie wspaniałe muzeum wyrobów sztuki. Kędy okiem sięgnąć, porcelany, szkła, majoliki i fajanse ustroiły stoły, i dopiero na pierwszem piętrze zmienia się widok. Zajęły je bowiem ministerya oświaty, rolnictwa i handlu i zapełniły swojemi wystawami.

Na dole, zaraz po prawej ręce, rozsiadły się produkcye wielkiej firmy medyolańskiej Ginori. Ceramika z metalicznemi odbłyskami, stylowe majoliki, prześliczne porcelany w stylu Ludwika XV. Oddział porcelany reprezentowany wyśmienicie, są one przepiękne w wyrobie, harmonii, barwie, wzorowane zaś na najrozmaitszych epokach. Fajanse Ginoriego mają wielki odbyt.



Pawilon włoski.

Potem grupują się inni wystawcy z miast włoskich, z Vicenzy, Neapolu, Rzymu, Wenecyi, Bolonii, Medyolanu, Florencyi, Baszano, Turynu, Syenny, Modeny i wielu innych. Świadczy to wszystko, że liczne gałęzie przemysłu artystycznego kwitną we Włoszech.

Firma Ruggieri daje tu naczynia starogreckie i etruryjskie, uwzględniając kształty mało wyzyskiwane przez dzisiejszych ceramistów. Don Salviati celuje w mozajce jak najudatniej, przypominającej mozajkę rzymską. Ogromnem powodzeniem cieszy się rękodzielnia Signa z okolic Florencyi Jej terrakoty artystyczne i ozdobne gromadzą przed sobą tłumy. Rękodzielnia owa gra wybitną rolę w popularyzowaniu sztuki we Włoszech. Jedną z jej głównych zasług i specyalności stanowi odtworzenie płaskorzeźb i rzeźb przedrafaelowskich.

To też już na wystawie turyńskiej (1898 r.) rękodzielnia Signa spotkała się z gorącem uznaniem.

Liczne bronzy zwracają także na siebie powszechną uwagę. Niektóre z nich są obwieszone jak wieńcem szkaplerzy, napisami: sprzedany. Tak rzecz ma się z grupą grających aniołków Minghettiego z Bolonii.

Syenna jest reprezentowana bardzo szczęśliwie przez artystyczne wyroby żelazne Ludwika Costamagna. Świeczniki i ozdoby z kutego żelaza wykonane są z mistrzowstwem.

Miejscami spotykasz wystawy koronek. Słynne weneckie domy Jesurum i Camerino zasługują tu na wyszczególnienie. Medyolańska i florencka firma Gemignani popisują się wybornemi haftami starożytnemi i współczesnemi. Z Medyolanu złotnik Cellorio nadesłał ciekawy utwór naturalnej wielkości; odtworzenie w srebrze i złocie „Ostatniej wieczerzy“ Leonarda da Vinci. Cena opiewa 8,000 franków. Dość obficie jest wyposażony dział kryształów i szkieł.

Główny jednak artykuł wystawy przemysłowej pałacu włoskiego stanowi ceramika.

Pierwsze piętro jest wysoce zajmującem dla osób, które interesują się pedagogią. Na długiej, kilkunastometrowej przestrzeni szafy, szafki i stoły dźwigają zeszyty i wypracowania najrozmaitszych szkół włoskich, sprawozdania urzędowe, próbki bibliotek szkolnych. Wystawa obejmuje szkoły wszystkich kategoryi: ludowe, średnie, zawodowe, wreszcie uniwersytety. Szkołom artystycznym poświęcono jeszcze przeciwległą, długą galeryą; przelotny rzut oka na ten oddział stwierdza wniosek, jaki nasuwał się po obejrzeniu przedmiotów zwiedzanych na dole: mianowicie, że mimo rozmaitych niepomyślnych okoliczności Włochy rozwijają się i idą naprzód.

Jedną trzecią galeryi pierwszego piętra wypełnia oddział rólnicy i leśny. Ażeby dać pojęcie o stanie rolnictwa we Włoszech, rząd wydał gruby, kilkaset stron liczący tom, który jest do dyspozycyi publiczności.

Dobrze też jest reprezentowany oddział książek, wydawnictw muzycznych i teatralnych, oraz sztuk graficznych. Ale o wiele więcej zwracają na siebie uwagi Włochy w grupach poświęconych elektryczności i jej zastosowaniom. Fabrykant Tosi z Legnano wystawia imponujące motory elektryczne, dom Pirelli z Medyolanu wysoce ulepszony telegraf podwodny, słynny wynalazca Marconi ukazuje swój telegraf bez drutu. Do

nich przyłączył się zarząd poczt i telegrafów włoskich, urządzając wystawę swoich urządzeń i przyrządów i uzupełniając ją fotografiami i urzędowemi wydawnictwami.

W jak znacznym stopniu rozwija się przemysł elektryczny we Włoszech, świadczy fakt, że gdy wybitniejsze tylko firmy obesłały wystawę paryzką, okazało się, iż w odpowiednich pałacach nie będzie miejsca i dla połowy. Więc na Avenue de Suffren trzeba było wybudować osobny pawilon, zajmujący 700 metrów kwadr., obsadzony dziś szczelnie przez włoskich elektrotechników. Tylko część jego oddano metalurgom.

Ci ostatni reprezentują również bardzo poważny odłam przemysłu włoskiego. W pałacu górniczym stanowią oni dużą grupę. Zwłaszcza oddział giserni i hut z miasta Terni przedstawia się okazale. Z materyałów surowych podkreślę żelazo wyspy Elby, słynne marmury Carrary i siarkę sycylijską.

Ażeby skończyć przegląd przemysłu, wspomnę o wystawie włoskiej w Vincennes. Znajduje się tam oddział sportowy i przewozowy. Kompania adryatyckiej drogi żelaznej wystawiła tam wozy elektryczne, zastosowane już na pewnej części linii obsługiwanej przez nią. Ogólną uwagę zwraca dalej wagon z restauracyą, urządzenia Silvestriego, nagrodzony już w r. 1889tym. Potem następują welocypedy. Tablica, umieszczona w ich oddziale, unaocznia rozwój przemysłu kolarskiego we Włoszech; z każdym rokiem zmniejsza się ilość wwożonych welocypedów, a miejsce wyrobów angielskich, niemieckich i amerykańskich zajmują włoskie.

Krótki ów przegląd rozsianych na przestrzeni wystawowej działów włoskich dowodzi jasno, że dawna Italia nie zasypia na zeschłych wawrzynach sławy praojców, że nie opuszcza rąk wobec trudności, lecz steruje naprzód, jak łosoś, który przełamuje prąd wody i zdąża wytrwale i niezłomnie ku swemu celowi.

Specyalny.

Dział kobiecy.

Przybory toaletowe cesarzowej Józefiny.



Cesarzowa Józefina, pierwsza żona Napoleona I, była jedną z najrozrzutniejszych kobiet swego czasu. Pierwsze godziny po wstaniu przepędzała w ubieralni, rozpoczynając toaletę kąpielą. Jak wszystkie kreolki lubiła czystość aż do przesady, więc też kąpiel trwała długo. W srebrnych kotłach przynoszono gorącą wodę, srebrne wanny i wanienki w najrozmaitszych wielkościach kazała wszędzie za sobą wozić, a mydło, jakiego używała, nadzwyczaj było kosztownem. Po kąpieli kazała się godzinami masować, wygładzać zmarszczki na czole i na twarzy, nakładać kosmetyki i czesać włosy. Używała ona tyle bielidła, że w r. 1804 blanż nie chciał się już utrzymać na policzkach. Nie wystarczało jej trochę różu na twarz, tylko całą pokrywała blanżem i różem jak maską. Pieniądze, jakie wydawała na owe kosmetyki, dochodziły bajecznych sum. W r. 1808 kupiła farb u sławnego Martina za 2749 fr. a u pani Chaumeton za 598 franków. Oprócz tego wydawała dużo na perfumy. Cesarzowa przyzwyczaiła oczy Napoleona do tego stopnia do bielidła i różu. że nie raz nie chciał patrzeć na kobietę na dworze, nie mającej twarzy umalowanej. „Idź pani do domu i nałóż trochę różu na twarz, wyglądasz bowiem jak trup“, rzekł raz do jednej młodej artystokratki.

Co dwa tygodnie przychodził „specyalista na nogi“, i za przycięcie paznokci cesarzowej pobierał rocznej pensyi 2400 franków.

Po wszystkich tych wstępach rozpoczynało się dopiero właściwe ubieranie. Józefina wdziewała koszulę z cienkiego holenderskiego płótna, batystu albo muślinu, całą nieomal haftowaną i suto garnirowaną kosztownemi koronkami. Takich koszul posiadała 480, płótno kosztowało po 18 fr. łokieć, na każdą koszulę potrzebowano $2^1/_2$ łokcia, koronki kosztowały od 15—100 fr. łokieć a haft na dole 36—200 fr. Od uszycia płaciła tylko 7 fr.

Józefina nosiła najchętniej białe albo różowe jedwabne pończochy, i miała 158 par białych i 50 różowych, para zaś kosztowała 18—72 fr. Innych kolorowych jedwabnych pończoch miała 520 par. Suknie latowe były przeważnie szyte z muślinu, batystu i perkalu, zimowe z aksamitu lub ciężkich wełnianych materyi. W r. 1809 znajdowało się w jej garderobie 202 sukien latowych, a chociaż wszystkie były z lekkich białych tkanin, to każda z nich kosztowała 500 a nawet i 2000 fr. Główną i najdroższą ich ozdobą były hafty, tak piękne i oryginalne, że dzisiejsze wyroby równać się z niemi nie mogą.

Nie licząc toalet rannych i amazonek, miała cesarzowa w r. 1809 sukien wełnianych 133, wszystkich zaś razem 677, pomiędzy temi co do kolorów: 15 amarantowych, 22 czerwonych, 37 białych, 9 żółtych, 3 niebieskie i 2 czarne. Reszta w innych kolorach, kratkach, pasach itd. Miały to być najpiękniejsze kostyumy w całej Europie, a każdy z nich kosztował trzy do czterech tysięcy franków.

W ciągu jednego roku kupowała Józefina 23 sztuk koronek, 7 sukien galowych, 136 innych toalet, 20 szali indyjskich, 73 gorsetów, 48 sztuk materyi, 87 kapeluszy, 61 par jedwabnych pończoch, 980 par rękawiczek i 520 par bucików.

W przeciągu 6 lat wydała na toalety 1,573,653 fr., nie licząc długów, jakie u krawczek itd. zaciągała, i sukien galowych, które zwykle cesarz sam kupował. Przecięciowo wydawała rocznie na stroje 1,100,000. fr. Pokaźna suma! *M. P.*

Rewizya po rewizyi — oto pruskiej policyi zadanie!

Właśnie dziś już rychło z rana, gdy lokale naszej redakcyi i administracyi jeszcze były zamknięte — a więc w godzinie niezwykłej — ukazał się nagle tajny komisarz z wydziału policyi politycznej w asystencyi tajnego policyanta — obaj panowie po cywilnemu ubrani — w celu odbycia ścisłej rewizyi, a raczej w pogoni za manuskryptem „Vestera“.

Z manuskryptu i z charakteru pisma — chciałaby policya zapewne wyśledzić, kto jest autorem artykułów zamieszczanych w „Pracy“ z podpisem „Vester“.

Oczywiście, że nieznaleziono ani jednego odnośnego artykułu, pomimo, że przeszperano z iście pruską ścisłością wszystkie szafy i szafki, biurka i kąty.

Dla policyi zostanie więc i nadal zagadką, kto jest „Vester“?...

Wypędzono nam naszego naczelnego redaktora dr. Rakowskiego hen daleko za granicę w nadziei, że „Pracę“ przez to zniszczą. — Lecz przeciwnie, „Praca“ zyskała już wkrótce kilka tysięcy czytelników więcej, a miejsce dra Rakowskiego — zajął „Vester“, który policyi naszej jeszcze bardziej daje się we znaki!...

Oto owoce — wszelkich repressalii.

22. VIII. 1900. *„Praca“*

CZĘŚĆ TRZECIA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy.)

Emigrant i wygnaniec.

Niestety! nie pomogła ani dyplomacya ani strategia, hasło nie zostało wydanem, a rząd saski pod naciskiem Moskali i Prusaków nie mógł długo udzielać gościnności przybyszom, których zbyt liczne nagromadzenie w jednem miejscu wydawało się państwom sąsiedniem niebezpiecznem.

Przerzedziła się bardzo szybko kolonia polska w Dreźnie. Zdolnych do noszenia broni wydalono lub wydalili się sami do Szwajcaryi, Belgii, Francyi i Włoch, ognisko centralne Rządu narodowego przeniosło się do Paryża w osobie pełnomocnego komisarza, w nadelbiańskiem mieście pozostali tylko ludzie spokojni i pewni, to jest tacy, którzy wykazali, że mają się z czego utrzymać, którzy mieli rodziny i których wiek albo odniesione rany nie kazały się obawiać, że się zechcą pokusić o obalenie nad Wisłą panowania moskiewskiego caratu.

Z tysięcy liczba emigrantów polskich w Dreźnie zredukowała się na setki, z tych setek od czasu do czasu wywożono po jednym na gęsto ciałami Polaków zaludniony cmentarz friedrichsztadzki...

W liczbie tych, którzy pozostali w Dreznie znajdowali się prawie wszyscy wyparci za granicę bohaterowie naszej powieści. Rząd saski, a raczej policya saska zaliczyła ich do spokojniejszych, niech nam wolno będzie powołać się na to jej świadectwo, żeśmy materyału do naszego opowiadania nie szukali pomiędzy najburzliwszymi, najbardziej awanturniczymi i krwi moskiewskiej chciwymi reprezentantami naszego społeczeństwa.

IX.

W dzielnicy angielskiej przy ulicy noszącej polskie nazwisko: Mosczinsky-Strasse, w pięknym nowym guście wybudowanym domu, zajmował ładny apartament pan Artur, hrabia, wyraźnie hrabia Ketteler. Tytuł hrabiego figurował wyraźnie na porcelanowej tablicy umieszczonej na drzwiach wchodowych do apartamentu i wskazujących, że kto ma interes do „hrabiego“ Kettelera, gdzieindziej dzwonić nie potrzebuje. Hrabią tytułowali pana Artura jego lokaje, „hrabia“ stało na biletach wizytowych, nawet na kopertach listów pisanych do pana Artura przez jego szanownego rodzica czytać można było niekiedy „Graf“ a niekiedy „comte,“ lecz zawsze jedno z tego dwojga.

Hrabstwo to swoje znalazł pan Artur Ketteler po drodze z lasu pod Gradowcami, w którym go z oczu straciliśmy. Jaką drogą przybył do Drezna nie wiemy, dość że w drodze musiał się spotkać z jakimś monarchą, który go obdarzył tym tytułem za waleczność okazaną przez bohaterskie i wytrwałe zajmowanie kałuży podczas walki o niepodległość ojczyzny. Który to monarcha był tyle na pana Artura łaskaw, nie zapisała historya, trudno się nawet od nich dowiedzieć czy był europejskim czy azyatyckim mocarzem, to pewna, że pierwszym mężem, który o tej nobilitacyi jeszcze przed redaktorami gotajskich almanachów otrzymał lubo trochę niedokładną wiadomość, był znany turystom całej Europy oberkelner hotelu Wiktorya w Dreźnie, który nosi francuzkie imię François, co mu przecież nie przeszkadza nazywać się po niemiecku Pflaumenmuss i mówić nadsekwańskiem narzeczem tak biegle, że z nim każdy kto tylko umie po niemiecku rozmawiać woli....

Ów tedy znakomity François Pflaumenmuss skoro tylko zobaczył pana Artura w oddanym swemu zarządowi hotelu, zaraz się zdradził, że coś wie o nobilitacyi, jaka go w drodze spotkała i przemówił do niego:

— *Herr Baron!...*

— *Ich bin kein Baron!* — odpowiedział na to lekceważąco ex-kamerjunker.

— *Also Herr Graf!...* — poprawił się domyślny oberkelner i wskazał panu Arturowi przeznaczony dla niego pokój.

Pan Artur nie zaprotestował, snać nie chciał bawić w Dreznie *incognito*, wzruszył tylko ramionami, jakby na znak zdziwienia, iż oberkelnerzy i zwykli kelnerzy zagraniczni pojąć nie mogą, żeby młody pan przybywający z Polski mógł nie mieć żadnego tytułu i odtąd stało się publicznie wiadomem, że syn pana markiza jest hrabią i że papuga jego ojca miała dar do pewnego stopnia proroczy, bo choć ojcu nie wywróżyła tytułu, to go wywróżyła synowi.

Nie była to zresztą wcale dziwna i wyjątkowa przygoda, że pan Artur przekroczywszy granicę zwykłym Kettelerem, ledwie przybył do Niemiec zaraz się w hrabiego zamienił. Zwykle się to zdarza przejeżdżającym Niemcy polskim zamożniejszym podróżnym, że ich obrabiają i zarazem ograbiają w przejeździe. Tytuł taki nie dostaje się nigdy bez opłaty taksy, kto go chce otrzymać, musi płacić taksę podwójną za wszystko, czego zażąda.

Na ulicy Moszczyńskiego zainstalował się pan Artur wyraźnie już jako hrabia i hrabią podpisywał się zawsze. Podpisał się raz tak na liście do ojca i poczciwy pan markiz w Łaszczyńcach nie mało sobie głowy nałamał, który to z władzców udzielnych niemieckich, liczniejszych w owe czasy niż są teraz, poznał się na jego potomku i tytułem hrabskim go obdarzył.

Uznał jednak za stosowne pan markiz zawiadomić o tym zaszczycie okoliczne obywatelstwo, nadmieniając, że nie wie jeszcze dobrze, czy syn jego został hrabią księstwa Lippe-Schaumburg, czy też Sachsen-Altenburgskim, co zresztą dla sąsiednich obywateli było zupełnie wszystko jedno.

Ciesząc się jednak głośno, ubolewał w duszy pan markiz nad przewrotnym na tym świecie porządkiem.

— Gdy ojciec zostaje hrabią, — mówił do siebie, — to zaraz zostają hrabiami jego synowie, a hrabiankami jego córki, tymczasem, gdy synowi dostanie się ten zaszczyt, to nie przechodzi on nigdy na rodziców. Jest to niesprawiedliwość wyraźna... gdybym ja był prawodawcą, tobym postanowił, żeby pod tym względem między rodzicami i dziećmi istniała najściślejsza wzajemność.

Po chwili myśl ojca inny przybrała kierunek, chociaż się jakoś wcale nie mogła oddalić od tego synowskiego hrabstwa.

— I za co oni jego zrobili hrabią? — medytował — ja przecież tyle mam zasług, a nie dostąpiłem tego zaszczytu od naszego najjaśniejszego pana... Ale co to zasługi urzędnicze! tylko w dyplomacyi dochodzi się do zaszczytów... ma rozum, że się dyplomacyi poświęcił... żałuję, żem ja tego w mej młodości nie zrobił. Jako dyplomata zapewne notyfikował księciu Reues-Schleitz, że księżna Lippe-Detmold raczyła wydać na świat bliźnięta... Kto taką notyfikacyę przywozi o jednem urodzonem książątku to dostaje order, a kto o bliźniętach, no, to już niezawodnie musi zostać hrabią.

A po chwili znowu nasunęło się ojcu co innego do zaprzątniętej tym zaszczytem głowy:

— Dlaczego on mi jednak nie donosi, że został hrabią?

Była to zagadka, nad której rozwiązaniem dłużej myśleć było potrzeba, ale bystry umysł ojca i tę rozwiązał.

— Zapewne chce doświadczyć, czy się domyślę! No, to się przekona, że mi nie na dwóch, ale na jednem słowie dość. Podpisał się hrabią, bo jest hrabią, resztę powinienem się dowiedzieć z gazet. Udajmy, jakbym się już wszystkiego dowiedział, i piszmy do niego tak, jakby nigdy nic nie zaszło, a zaadresujemy „Monsieur le comte“.

To powiedziawszy, usiadł pan Ketteler i napisał epistołę, na kopercie której z niedającym się opisać zadowoleniem położył wyrazy „Monsieur le comte Arthur de Ketteler“.

Taką była geneza listów z tytułami, które pan Artur otrzymał od swego rodzica.

Jeżeli kto kierując się napisem na porcelanowej tablicy zadzwonił do jego drzwi, drzwi te otwierały się po chwili, i przychodzącemu pokazywał swoje oblicze kamerdyner pana hrabiego.

Przychodzącym często był Polak, i ten zazwyczaj, zwłaszcza, jeżeli pierwszy raz przychodził, przemawiał po polsku.

— Czy pan hrabia w domu?

— *Verstehe kein Wort polnisch* — odpowiadał służący i trzeba było zapytanie tłumaczyć na język niemiecki.

Lokaj ten był ciekawą może trochę dla naszych czytelników postacią.

Najprzód nie wyglądał wcale na lokaja wielkiego pana. Wielcy panowie zwykli sobie dobierać wielkich lokai, ten był maleńki. Oczy miał siwe, włosy opuściły już dawno swój przytułek na czaszce, i trzeba ją było pokryć peruką, żeby się mózg nie przeziębił; nos mały, cienko zakończony, wargi zaciśnięte, twarz blada i chuda, cała postać mizerna i gdyby nie pańska liberya wyglądałby bardzo biednie. Gdyby nie peruka, która odmienny charakter nadawała jego fizyognomii, gdyby nie ta okoliczność, że był rodowitym Niemcem, że się nazywał Fritz Hahn, że nie mówił ani słowa po polsku, że nie zdawał się już zaraz na pierwszy rzut oka tak pobożnym i świętym, ktokolwiek znał Rafała Fajskiego w Kamieńcu, mógłby był przysiądz, że to Rafał Fajski. Głowę nawet miał tak samo pochyloną i oczy tak samo spuszczone zawsze jak tamten.

Było to jednak prawdopodobnie tylko przypadkowe podobieństwo, bo chociaż w Gradowcach Rafał Fajski, kiedy go wyciągnięto z pod stołu, znajdował się w fatalnem niebezpieczeństwie, niebezpieczeństwo to jednak nie obezprzytomniło go tak, żeby miał aż zapomnieć swego języka i nazwiska.

Pan Artur bawił w Dreznie w charakterze dyplomaty. W chwili kiedy się z powieścią naszą przenosimy do Drezna, nie było już co robić dyplomatom á la hrabia Ketteler w usługach powstania, więc pan Artur nie ubiegał się już o misye Rządu Narodowego, któreby go mogły niepotrzebnie kompromitować przed rządem narodowym, — całą jego dyplomacyą drezdeńską było to tylko, że bardzo zręcznie przed paszportowymi i artystokracyą emigracyjną uchodził za paszportowca, przed pospólstwem zaś emigracyjnem za emigranta, z którego to tytułu nie uchylał się od datków na potrzeby biednych emigrantów.

Czy był rzeczywiście paszportowcem czy emigrantem o tem wiedział tylko specyalny komisarz zajmujący się emigrantami w Dreznie. Ten wiedzieć musiał, nie tylko dlatego, że był komisarzem, którego obowiązkiem było wiedzieć o wszystkiem, co się w kolonii emigracyjnej działo, ale dlatego także, że Fritz Hahn, lokaj pana hrabiego, znał doskonale drogę prowadzącą *hinter die Frauen-Kirche*, gdzie się mieszczą biura policyi.

Bywał on tam raz, dwa, czasem trzy razy na dzień, w swoich czy w pana swego interesach nie wiadomo; ale nikogo to nie dziwiło, był przecież Niemcem i ani słowa po polsku nie rozumiał, choćby też płacę pobieraną od hrabiego uzupełniał sobie donosicielstwem, to cóż mógł donieść nic nie rozumiejąc — nikt nie śledził jego kroków, a choćby się kto domyślił częstszych jego wizyt w biurze policyjnem jeszcze i tak do wystrzegania się przed nim z rzeczami mówionemi po polsku nie byłoby najmniejszego powodu.

Przytem Fritz Hahn, choć nie wyglądał tak pobożnie jak Rafał Fajski, miał fizyognomię poczciwą i nie godziło się posądzać go o przeniewierstwo.

Mogli to czynić inni, wolno i nam, zajrzyjmy więc na chwilę do mieszkania hrabiego Artura.

Jest to już dobrze pod jesień 1864 roku, dzień chłodny, ale pogoda piękna.

Przed nami zmierza ku ulicy Moszczyńskiego jakaś zakwefiona i w futro z długim białym włosem ubrana kobieta. W ręku trzyma karteczkę, na którą od czasu do czasu rzuca okiem, a potem ogląda się po rogach ulic i odczytuje ich nazwiska. Świadomsi miejscowych zwyczajów zgadliby zaraz, że ta pani za niewielką przepisaną opłatą otrzymała z policyi czyjś adres, i że poszukuje tego adresu. Futro jej i wyglądający z pod niego długi tren sukni, materyalnej wprawdzie, ale dobrze już zużytej, świadczą również dla świadomych miejscowego obyczaju, że pani ta nie jest miejscową i z dalekich przybyła stron. Futra w ogóle rzadko używane są w Dreznie, a zamiatanie ulic trenami sukni praktykuje się tylko jako fenomenalny wyjątek na wykwintnych promenadach, w dni uroczyste.

Ruch tej pani żywy, lekki, prawie młodzieńczy, co trochę kontrastuje z postacią, o ile bowiem dojrzeć można z pod welonu, nie wygląda ona bardzo młodo.

Zatrzymała się przed domem, w którym mieszkał hrabia Artur, sprawdziła numer, kiwnęła głową, uderzyła ręką w kartkę, jak gdyby mówiła „nareszcie“, pobiegła na schody, i wkrótce potem znalazła się przed znaną nam już tablicą porcelanową.

— Wystawić sobie — rzekła półgłosem po polsku, wpatrując się w napis na tablicy — wystawić sobie, to jego naprawdę hrabią zrobili... ojciec nie żartował i nie zmyślał... Słusznie!... słusznie!... należało mu się to dawno... salonowy, europejski człowiek... nie był hrabią, nie śniło się o tem jeszcze nikomu, a ja już wtenczas zawsze mówiłam, że on na hrabiego wygląda.

Zadzwoniła. Fritz Hahn ukazał swe kamerdynerskie oblicze.

— Pan hrabia w domu?

— *Verstehe kein Wort polnisch* — odparł rodowity Niemiec uświęconą zwyczajem swoim formułą.

— Otóż masz! znów *ferszte kaj wort!* — zawołała kobieta — gdzie się obrócić wszędzie *ferszte kaj wort!*... a cóż ja pocznę nieszczęśliwa, kiedy znowu ja po waszemu *ferszte kaj wort!* Mój kochany panie Niemcze, powiedz mi pan tylko czy hrabia w domu... ja więcej nie chcę...

Nie pomogła ta apostrofa, której towarzyszył gest uprzejmy. Fritz Hahn wzruszeniem ramion dał do zrozumienia, że tego wcale nie rozumie. Próbka dogadania się po francusku także nie doprowadziła do niczego, wydobycie z kieszonki i wręczenie lokajowi biletu wizytowego również nie nawiele się przydało, dopiero gdy zakwefiona dama wyszukała w torebce dwuzłotówkę i wsunęła ją w dłoń Argusa, strzegącego przystępu do pana grafa, Fritz Hahn uległ wymowie uniwersalnego języka monety i wpuścił panią w futrze do przedpokoju, poczem uchyliwszy drzwi do apartamentu, zameldował wizytę hrabiemu.

— Proś — rzekł pan Artur po polsku na niemieckie oznajmienie swojego sługi.

Był to zapewne ten „kein Wort,“ który Fritz Hahn rozumiał, bo nie kazał sobie tłumaczyć tego na swój język rodzinny, lecz powrócił do przedpokoju i gestem wskazał damie, żeby weszła do apartamentu.

Dama, białe jej futro, suknia z powłóczystym trenem i gęsty welon, wszystko to razem ukazało się po chwili w salonie pana Artura, który siedział na szezlągu paląc papierosa, i zawahał się na widok nieznajomej, czy ma się podnieść czy też przyjmować ją siedzący, ażeby swej niedawno nabytej godności hrabskiej nie ubliżyć.

— Nareszcie dostałam się do pana hrabiego — zawołała dama, zwolna podnosząc welon — alem się też nachodziła, bo nachodziła... Wyobraź sobie, hrabio, w tem Dreźnie z nikim ani się dogadać!... Okropność!... Nawet pański lokaj!... — *Quelle idée d'avoir un domestique qui ne parle pas français!*... Ale doskonale hrabia wyglądasz!... bohaterska służba w szeregach narodowych nie zaszkodziła zdrowiu...

Głos i twarz oznajmiły hrabiemu, kogo miał przyjemność przyjmować. Powstał z szezlągu, wskazał damie miejsce i rzekł:

— Pani szambelanowa! a to doprawdy niespodziewana wizyta... Cóż panią sprowadziło do Drezna?...

W tonie jakim były wypowiedziane te wyrazy nie znać było wielkiego zadowolenia. Snać przypomniała się hrabiemu rola dziewicy orleańskiej, którą w tragedyi jego życia tak niepotrzebnie i tak niefortunnie odegrała, odwiedzając go obecnie ciocia Giefia!...

— Co sprowadza? — powtórzyła wdówka — naturalnie nieszczęście!... a tego nieszczęścia pan, panie hrabio, jesteś sprawcą!

— Ja! — zawołał pan Artur wzruszając ramionami — czemże ja mógłbym...

Tu przerwał sobie i skrzywił się dość widocznie. Przyszło mu na myśl, że rząd moskiewski mógł się przyczepić do biednej szambelanowej, za to, że niegdyś uzbroiła się w pancerz i hełm i wzięła miecz w prawicę, ażeby walczyć przeciw temu rządowi, jako zastępczyni pewnego zbyt delikatnie wychowanego markizowego syna. Przypomnienie tej historyi zdawało się teraz panu Arturowi prawie nieuniknionem, słowa szambelanowej o jego bohaterstwie były do tego niby wstępem, a hrabia Artur nie taił przed sobą, że przypomnienie szczegółów owego wypadku nie byłoby dla niego w tej chwili i w tem miejscu przyjemne.

— Tak, panie hrabio — mówiła dalej szambelanowa — pan jesteś sprawcą mego nieszczęścia i wiesz najlepiej coś zrobił.

— Ależ daję pani słowo, że nie wiem nic... wytłumacz się pani jaśniej...

— Naturalnie, żeś hrabia mógł nie wiedzieć ile mi złego narobiłeś... mogłeś sądzić, że sobie pojadę do swojego majątku... i ja sama tak myślałam... ale wyobraź hrabia sobie... *imaginez-vous*, rząd skonfiskował mi moją majętność!...

Czytelnicy nasi wiedzą jaka to była majętność i że rząd, jeżeli ją skonfiskował rzeczywiście, to się nią nie bardzo obłowił...

— To jest nie skonfiskował — dodała po chwili — ale nałożył tyle kontrybucyi, żem wolała oddać wszystko niż płacić... pojmujesz pan, że w takiem położeniu pańskie rozporządzenie stawiało mnie w sytuacyi rozpacznej... nie mam teraz własnego kąta...

— Ależ pani — rzekł trochę niedyplomatycznie dyplomata — powtarzam, że nie wiem o żadnem rozporządzeniu, powiedz pani wyraźnie o co chodzi.

— A to szczególne! — roześmiała się ciocia Giefia — więc to chyba pański ojciec na pana hrabiego złożył wszytko, lecz w takim razie dobrze, żem tutaj przyjechała, bo tutaj znajdę sprawiedliwość... Hrabia nie będziesz chciał mojej krzywdy, pamiętasz przecie, że z zapomnieniem o mojej płci, chciałam się poświęcić...

— Pamiętam, pamiętam... nigdy nie zapomnę... — zagadał szybko hrabia Artur — lecz skończże pani raz... o co chodzi?...

Cioci Giefi myśl jakaś przelotna zabiegła do głowy. Była poważną, mówiła o jakiemś nieszczęściu, teraz twarz jej się rozjaśniła, na ustach zabłąkał się śmiech pusty.

— Panie hrabio... — rzekła zmieniając przedmiot rozmowy — powiedz mi pan, co to znaczy *weisse Bär?*

— Cóż to może mieć do rzeczy?...

— Nic! nic!... ale powiedz mi hrabia, co to znaczy, bo umrę z ciekawości.

— *Weisse Bär* znaczy biały niedźwiedź.

Ciocia Giefia zerwała się z krzesła i klasnęła w ręce.

— Ależ to wyborne! paradne! znakomite! — zawołała ciesząc się jak dziecko i chodząc szybko po pokoju, przytem tren jej sukni z szelestem zamiatał froterowaną posadzkę. — Biały niedźwiedź!... Wyobraź sobie hrabio, *imaginez-vous*, tutaj w Dreźnie przechodzę ulicą, chłopaki pokazują mnie palcami i wołają *weisse Bär, weisse Bär!*

Były kamerjunker zniecierpliwiony wzruszył ramionami.

— Nie musiało panią spotkać wielkie nieszczęście — rzekł — kiedy się pani możesz cieszyć taką drobnostką.

Ciocia Giefia zatrzymała się przed nim, stanęła w postawie tragicznej i zawołała patetycznie:

— Niewielkie nieszczęście, powiadasz hrabia! niewielkie nieszczęście!... A godziło się to, panie hrabio, mnie, któram dla pana gotowa się była poświęcić...

Pan Artur machnął ręką.

— Zapomnieć o mojej płci... — prawiła dalej szambelanowa — mnie, której właśnie skonfiskowano majątek, godziło się to, żebyś hrabia, człowiek salonowy i europejski, żebyś hrabia w takich okolicznościach kazał wyrzucić mnie z Zaskala, jak jakiego psa...

— Ja, pani szambelanowo?...

— Tak... pański ojciec powiedział mi wyraźnie, że to pan, że panu oddał cały zarząd tego majątku i że pan chcesz, żebym się zaraz wyprowadzała. A kiedym zaczęła przedstawiać, że to przecież nie wasz majątek, tylko mojej Kostusi, to wiesz hrabio, co mi powiedział?

— Domyślam się mniej więcej...

— Ale zkąd?... nigdybyś się hrabio takiej okropności nie domyślił... powiadał mi, że o niczem podobnem nie wie, że wie tylko, żeście Zaskalę za gotówkę kupili.

— Bo też i ja nie wiem — przerwał pan Artur — zkąd pani przyszło do głowy, że ja i mój ojciec chcielibyśmy mieć w posiadaniu majętność, gdyby ona do nas nie należała, i że chcielibyśmy być ekonomami jakiejś tam pani garbarzowej...

Ciocia Giefia zamilkła, jak gdyby oniemiała nagle. Nie mogło się to, co słyszała, pomieścić odrazu w jej głowie.

— Jeżeli mój ojciec — mówił dalej pan Artur — radził pani wyjechać z Zaskala, to widać miał do tego powody i prawo. Ja woli jego zmieniać nie mogę i nie chcę. Być może, że się zasłonił mną, ażeby pani otwarcie prawdę powiedzieć, bo ja co do pani żadnych nie robiłem rozporządzeń, ale w każdym razie zmuszony jestem uznać to, co zrobionem zostało, i nic więcej nie mam do powiedzenia.

To powiedziawszy pan Artur poprawił się w szezlongu i zaczął sobie kręcić papierosa z miną najobojętniejszą w świecie.

Przez długą chwilę szambelanowa stała przed nim i patrzyła na niego w milczeniu. Zdawało się, że chce mówić i że głosu z piersi dobyć nie może. Nareszcie przemogła się i zawołała:

— To tak!... to tak!.. miałam dla kogo chcieć się poświęcać!...

Na nową wzmiankę o poświęceniu pan Artur drgnął i mimowolnie gniewnym ruchem potargał niedokręconego papierosa. Potem odrzuciwszy na stół tytoń i bibułki, podniósł się z szezlongu i stanąwszy przed ciocią Giefią, rzekł:

— Proszę panią... dosyć tych żartów... o jakiem poświęceniu pani mówisz?... ja o żadnem nie wiem!...

— Chciałam pana zastąpić, uzbroić się i iść do obozu, pod warunkiem, że pana uwolnią...

— Marzysz pani!... nic podobnego nigdy nie było.

— Marzę!... nigdy nie było!... Najpiękniejszy dzień mego życia nigdy nie był! — jęknęła szambelanowa załamując ręce.

— Śnił się pani może... trzeba się z tego snu przebudzić.

— Budzisz mnie pan w bardzo czarnym kolorze, panie hrabio.

— Nie gram z panią w grę towarzyską, mówię seryo... trzeba się rozbudzić i z innych snów... Żona pana Wydry nie ma obecnie nic... Zaskale jest naszą własnością... rozumiesz pani, naszą... Żona pana Wydry nie może pani dać przytułku, chyba w garbarni.. Co innego my, ale nie z obowiązku, pamiętaj pani... nie z obowiązku... Jeżeli pani chcesz zapomnieć o jakichś tam niedorzecznych poświęceniach, których nie było, a przypomnieć sobie to, co było i co się działo w obecności pani... to jest, żeś pani była przy tem, jak rotmistrz sprzedawał nam Zaskale i jak mu gotówką płaciliśmy, to będziemy pamiętali o pani potrzebach. Póki się pani co innego marzy, proszę mnie nie nachodzić.

To powiedziawszy pan Artur odwócił się i wyszedł z pokoju, zostawiając szambelanowę samą.

— Gotówką płaciliśmy... pamiętali o potrzebach — powtarzała ciocia Giefia po jego odejściu, a po chwili dodała: — albo ja teraz wiem, co było, a co nie było?

Wzruszyła ramionami i wyszła.

W przedpokoju czekał Fritz Hahn. Ukłoniła mu się grzecznie, posłała całusa od ust i rzekła:

— *Ferszte kaj Wort, weisse Bär!*

Potem wyszła na ulicę. Tym razem nie patrzyła gdzie idzie. Znalazła się też wkrótce na jednym z skwerów drezdeńskich, na którym bawiły się dzieci.

Kiwnęła ręką na jedno z nich, przybliżyło się do niej.

— Ja *weisse Bär!* — rzekła do niego — *weisse Bär*, ja?

— *Weisse Bär!* — odpowiedział chłopczyk śmiejąc się i zaczął coś jeszcze mówić po niemiecku, czego już nie rozumiała i nie słuchała.

Nieopodal była ławka, usiadła na niej i przez czas bawiła się wołaniem przechodzących dzieci i zapytywaniem ich podobnież o białego niedźwiedzia.

Poplątało się coś chwilowo w umyśle biednej cioci Giefi na zapewnienie hrabiego, że najpiękniejszy dzień w jej życiu był snem tylko.

Zmierzchać się już zaczynało, gdy na drugim końcu ławek usiadł jakiś dobrze szpakowaty mężczyzna.

Siadając rzekł kilka słów przeproszenia dosyć niezrozumiale i niewyraźnie.

— *Ferszte kaj Wort, weisse Bär!* — odpowiedziała ciocia Giefia.

Sąsiad ani się uśmiechnął na tę oryginalną odpowiedź, jakby jej także nie rozumiał, ale pilnie i coraz pilniej wpatrywał się w szambelanową.

Nareszcie po dość długiem milczeniu i przyglądaniu się zawołał po polsku:

— Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli się nie mylę, to pani szambelanowa!

Ciocia Giefia odwróciła się i spojrzała na niego szybko.

— *Imaginez-vous*, pan Bartłomiej!... a to spotkanie!...

— Góra z górą, pani szambelanowo dobrodziejka, spotykamy się na tułactwie i wszystko poszło nie tak jak marzyliśmy... Cóż robić!...

— A mnie tu wszystkie dzieciaki nazywają *weisse Bär*, dlatego że chodzę w futrze... to zabawne!...

— W istocie, wzruszył ramionami pan Bartłomiej — i dawno pani dobrodziejka z Zaskala?...

— Niedawno...

— No, i gniewa się pani jeszcze na mnie za moje obejście się owego dnia?...

— Kiedym się ubrała po wojennemu i chciała iść do powstania za pana Artura?

— Tak... gniewasz się pani jeszcze?

— A o cóżby?... o sen?...

— Jakto o sen?

— No, bo przecież to sen był tylko — powtórzyła ciocia Giefia.

Zahajpolski spojrzał na nią tak jak się patrzy na osobę nie mającą w porządku zmysłów...

— Tak przynajmniej hrabia Artur powiada — dodała ciocia Giefia z westchnieniem.

— Jaki hrabia Artur?

— Ketteler...

— To on hrabia?...

— A jakże... ma lokaja *fersztc kaj Wort*... mieszka na tej ulicy, co się po polsku nazywa... powiada, że oni Zaskale za gotówkę kupili, że płacili przy mnie, że markiz słusznie zrobił, że ztamtąd wypędził mnie... i że wszystko zresztą mnie się śniło. *Ferszte kaj Wort, weisse Bär!*

Pan Bartłomiej słuchał ciekawie. Wysłuchawszy zamilkł i zamyślił się. Ciocia Giefia nie zważała na niego, bawiła się z dziećmi.

Po kilku minutach Zahajpolski splunął energicznie:

— Tfu, szelmy!... — rzekł.

Ukłonił się szambelanowej i odszedł.

Odszedł pan Bartłomiej od cioci Giefi, a ciężko mu było na sercu, gryzł się, dąsał, za wąsy szarpał i byłby je może powyrywał, gdyby nie to, że się doskonale zakorzeniły w szlacheckiej skórze.

— Czy siak czy tak, panie bratku — mówił do siebie — czy siak czy tak, źle!.... Ratunku nie ma, rady nie ma!.... Szelmy! łotry! urwisze! gałgany!.... już to ja ich czułem przez skórę!.... A moja wina! niczyja tylko moja!.... Gdybym był wówczas, kiedy staremu rotmistrzowi ni ztąd ni zowąd przyszło do głowy markizowi oddać w fideikomis swoje mienie, gdybym był wówczas, tak jak miałem ochotę, zawołał: „Rotmistrzu nie czyń tego!“, gdybym był przestrzegł jak byłem powinien, byłby przecież stary opamiętał się może.... A tak!... Hultajom, pyszałkom, ludziom bez Boga w sercu oddał perłę ziemi podolskiej, wioskę, na którą ten lis markiz ostrzył sobie zęby od tylu lat, a dzieciom nie zostawił nic!.... I to się nazywa rozum?.... i to przezorność? pfe! wstyd panie bratku!.... Dzieci będą teraz marły głód na obczyźnie, zginie i sponiewiera się na tułaczce zacna rodzina, a sam stary nędzy zazna nad grobem, bo o wydarciu Zaskala z paszczy de Kettelerów, o zmuszeniu ich żeby zapłacili choć coś, ani myśleć... Łatwiej z paszczy wilka zdobycz ocalić, niż z takiego dorobkowca sępich pazurów!....

Tak rozmawiając sam z sobą włóczył się szaraczkowy poczciwiec po obcem mieście, bez żadnego planu i celu. Snać pomysł mu się nie nasuwał żaden, jakby przyjaciołom pomódz w krzywdzie, jakby ich poratować w nieszczęściu. Chodził widocznie dlatego tylko, żeby żółć, która mu się w piersiach zebrała, rozeszła się i rozmieściła dogodniej po organizmie.

Po kilku godzinach takiej bezcelowej przechadzki po ulicach, zmęczony spoczął na ławce w jednej z alei Zwingeru i pogrążył się w zadumie, nie uważając wcale na przechodniów.

W liczbie tych przechodniów był przecież ktoś, co na niego zwrócił uwagę i przeszedłszy kilka razy tam i napowrót pilnie mu się przypatrywał, a nareszcie przekonawszy się widać, że się nie myli, zbliżył się do niego, dłoń mu lekko na ramieniu położył i powitał go chrześciańskiem:

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków — odpowiedział Zahajpolski i spojrzał na zaczepiającego.

Stał przed nim mężczyzna może sześćdziesięcioletni, ale wyglądający krzepko i zdrowo. Twarz miał ogoloną, zupełnie czerstwą, ogorzałą. Blizna dosyć szeroka przerzynała mu środek lewego policzka, koniec jej znikał pod czapką z daszkiem. Blizna ta zdawała się świadczyć, że jej posiadacz bawił się w żołnierkę, ubranie przecież inne zupełnie oddawało świadectwo. Wojskowi lubią się nosić opięto i krótko i lubią pamiętać o odzieży, ten był ubrany jakby sobie wczoraj dopiero odzieży od kogoś pożyczył i chodzić w niej jeszcze nie przywykł. Głos mówiącego przypominał sobie pan Bartłomiej, zdawało mu się przynajmniej, że dźwięk jego mowy nie jest mu obcy, ale postawy ani twarzy przypomnieć sobie nie mógł.

— Nie poznajesz mnie, panie Bartłomieju? — zapytał zaczepiający — a przecież.... czy siak czy tak, panie bratku.... nieraz odsłaniałeś przedemną tajemnice swego sumienia...

Wzmianka ta wyjaśniła panu Bartłomiejowi wszystko.

— Ojciec Fulgencyusz! -- zawołał niedowierzając sobie jeszcze.

— On sam.... do niepoznania zmieniony w tem przebraniu.... nieprawdaż?... Ale trudno... Po upadku powstania w naszej okolicy nie było mi co robić w Gradowcach.... czekała zsyłka albo co gorszego jeszcze.... miałem do wyboru dwoje... uciekać zagranicę lub iść do obozu za kapelana... wybrałem drugie.... wziąłem krzyż w rękę i poszedłem. Od oddziału przechodząc do oddziału, zagrzewałem ducha i niosłem chrześciańską pociechę umierającym. Bóg dopomógł i ocalał mnie prawie do ostatniej chwili. W jednej z ostatnich potyczek, na wiosnę tego roku, klęczącego przy rannym, który jak sądziłem za chwilę miał oddać ducha, płatnął mnie jakiś kozak szaszką i pozostawił mi tę pamiątkę, którą do śmierci nosić będę na twarzy, ale twarda dusza kapucyńska nie chciała wyjść z pod habitu od tego cięcia. Kozacy popędzili dalej, lud okoliczny opatrzył ranę moją i tego wiarusa, którego błogosławiłem na tamten świat. Poczciwe chłopstwo ukrywało nas obu w gęstwinie leśnej, pókiśmy się nie wylizali, a potem ułatwiło nam ucieczkę za granicę. Ale uciekając potrzeba było pozbyć się kapucyńskiej skóry, mniszej odzieży i brody. Rozstałem się zatem z temi oznakami mego kapłańskiego stanu i przybyłem tutaj chwilowo, a że i tu odzież mnisza nie jest dozwolona, więc jeszcze do niej powrócić nie mogłem. Oto jest cała moja historya, panie Bartłomieju i oto przyczyna dlaczego z mnicha widzisz mnie przedzierzgniętego w laika, tak dobrze, że mnie poznać nie mogłeś. A jakież twoje powodzenie na tułaczce, panie Zahajpolski?

— Głupie, ojcze dobrodzieju, nad wyraz głupie i ciężko grzeszne. Wyparty do Galicyi, internowany, kląłem tylko, kląłem i kląłem na czem świat stoi, póki mnie tutaj nie przywieźli, a tutaj klnę znów dalej i rozgrzeszeniabym nie dostał za te klątwy... Ale co począć? jak nie kląć, kiedy złe tryumfuje, kiedy ci, co w Boga nie wierzą, są górą, kiedy wszystko co słuszne i co święte sponiewierane i pohańbione, kiedy nie ma sprawiedliwości ani w niebie ani na ziemi...

— Nie bluźnij, panie Zahajpolski — przerwał łagodnie kapłan — to są próby, na które nas Bóg skazał za grzechy naszej przeszłości, nie dodawajmy do tych grzechów nowego: zwątpienia w Opatrzność Bożą, aby nie przeciężyć ich szali... Wierzmy, że przyjdzie godzina, która skończy naszą pokutę.

Mea culpa, zgrzeszyłem, ojcze dobrodzieju... ale Bóg mi świadkiem, że trudno panować nad sobą... Dziś znowu dowiedziałem się o nowej zgrozie, o nowej klęsce, która dotyka ludzi zacnych a ciężko doświadczonych, więc nie dziw, że żółć we mnie wezbrała, i że aż bluźnić byłem gotów...

Tu pan Barłomiej opowiedział ojcu Fulgencyuszowi historyę, której się dowiedział od cioci Giefii.

— A znam ich położenie — dodał kończąc — nie mają prawie nic. Co było zapasu pochłonęła ucieczka rotmistrza, rozeszło się na pobyt w Ołomuńcu i tutaj. Stanisław wolno przychodził do zdrowia z odniesionej rany, pracować nie mógł, zresztą jeżeli tylko jego praca im pozostanie, to nie wystarczy na wygody potrzebne dla rotmistrza i dla żony Stanisława i dla dziecka...

— Więc jest dziecko?...

— Jest... syn... mój chrześniak, ojcze dobrodzieju... — rzekł pokręcając wąsa pan Bartłomiej — ma dopiero miesiąc, ale widać mu z miny, że będzie z niego tęgi kawalerzysta, chociaż między szołdrami na świat przyszedł... bo siak czy tak panie bratku, polska krew choć pośród szwabów, to zawsze polska krew!... Ale wracając do rzeczy, jedynem źródłem, na które liczyli, było Zaskale, a raczej suma, którą się dostać spodziewali od Kettelerów za rzeczywiste odstąpienie tej wioski. A teraz masz!... Jak się o tej niegodziwości dowiedziałem, tom się tak zgryzł, żem się im na oczy pokazać nie śmiał... Mnież to przyszło wnosić rozpacz i zgryzotę w ich dom? Krocset tysięcy!...

Uniósł się Zahajpolski i chciał kląć, ale spojrzawszy na księdza powstrzymał się i usta sobie ręką zasłonił.

— Panie Zahajpolski — rzekł kapycyn — są trzy powody, żeby się tem wszystkiem nie martwić.

— Trzy powody, a no proszę, jakież to?

— Najprzód może to wszystko tylko babska plotka pani Wieluńskiej...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SĄD BOŻY.

Tłómaczył z angielskiego S. P.

TOM I.

(Ciąg dalszy.)

Byrd widział, jak usta jego drżały, gdy ostatnie wymawiał słowa. Zapewne obawiał się następnego pytania, ale coroner chciał osięgnąć zamierzony cel w inny sposób.

— W jakim pokoju byłeś pan, i jakiemi wszedłeś i wyszedłeś drzwiami? — zapytał.

— Drzwiami z ulicy. Rozmowa nasza toczyła się tam, dodał Hildret, wskazując na poboczny pokój mieszkalny.

— Stałeś pan? Nie siedziałeś wcale?

— Stałem! — odrzekł Hildret, nie umiejąc już pohamować swego gniewu. Coroner spojrzał na niego badawczo, uśmiechnął się lekko i pytał dalej:

— Wracając, nie spotkałeś pan nikogo?

— Nie wiem! Nie oglądałem się!

— Więc wyszedłeś pan na ulicę, a potem — dokąd?

— Na dworzec! Chciałem opuścić miasto, w którem nie miałem już nic do czynienia.

— Dokąd pan pojechałeś?

— Do Albany. Tam zostawiłem mój kufer!

— A zatem pojechałeś pan pociągiem, odchodzącym ztąd pięć minut po dwunastej!

— Tak!

— Kupiłeś pan bilet?

— Nie, na to nie starczyło mi już czasu!

— Czy pociąg już stał?

Cierpliwość albo odwaga Hildreta była już wyczerpaną temi okropnemi pytaniami.

— To nie należy do pana, — odrzekł zuchwale. — A zresztą, mniejsza o to — pociąg już ruszał, musiałem więc biedz, aby go dosięgnąć. Z niebezpieczeństwem życia nieomal wskoczyłem do ostatniego wagonu.

Teraz zaciął silnie usta i wyglądał tak, jak gdyby żałował, że przy tej sposobności karku nie złamał. Ciekawe spojrzenia zgromadzonych zdawały się go niezmiernie drażnić, ale coroner, sumienny urzędnik, nie wypuścił z rąk swej ofiary.

— Pan, — zaczął, — jesteś jedynym człowiekiem, o którym wiemy, że krótko przed popełnieniem zbrodni rozmawiał z panią Klimmer, więc też wszystko co nam o pobycie swym w jej domu powiedzieć możesz, bardzo jest ważnem. Słyszałeś albo widziałeś pan coś takiego, co mogłoby naprowadzić na domysł, że wdowa nie była samą w mieszkaniu? Namyśl pan się dobrze, zanim odpowiesz!

Byrd sądził, że Hildret zrozumie słowa coronera i że pochwyci skwapliwie ten środek ratunku, ale czy biedny uważał się już za straconego, czy zbyt był zuchwałym, dosyć, że potrząsnął tylko głową i rzekł ochrypłym głosem:

— Jeżeli ktoś jeszcze był tam, to ja ani go widziałem, ani słyszałem. Jestem pewien, że byliśmy sami.

To otwarte wyznanie przemawiało na jego korzyść, ale niepokój i zmieszanie, jakie okazywał zdradzało aż nadto, że znał całą doniosłość swej odpowiedzi.

Teraz zmienił coroner niespodziewanie taktykę. Poprosił Hildreta, aby się z nim udał do mieszkalnego pokoju i zaprowadził zdumionego tem nowem postępowaniem aż do stołu. Zgromadzeni wstrzymywali oddech.

— Chciałbym wiedzieć, — rzekł, — na jakiem miejscu stałeś pan, rozmawiając z wdową? Proszę o ile możności stanąć tak samo!

— Za wiele tu ludzi, — odparł Hildret, który nie wiedząc, do czego coroner zmierza, zaczynał się znowu widocznie niepokoić.

— Publiczność usunie się. No, teraz możesz mi pan wskazać owe miejsce.

— Stałem więc tutaj!

— A wdowa?

— Naprzeciwko mnie!

— To jest: pani Klimmer stała plecami do podwórza, a pan mogłeś je całkiem przejrzeć.....

I wracając prędko do pokoju, w którym się odbywało śledztwo, dodał:

— Nie widziałeś pan nikogo, przechodzącego przez podwórze? Nie słyszałeś pukania do drzwi?

Walery zmarszczył czoło i milczał.

— Odpowiedz pan! Nie masz się nad czem namyślać!

— Nie! — zawołał Walery stanowczo, — nie widziałem nikogo!

— Ani nawet handlarza, który pukał do drzwi kuchennych?

— Nie!

Coroner wziął teraz kartkę papieru i zaczął kreślić rozmaite liczby. Walery patrzał na to dzikim nieomal wzrokiem, odetchnął głęboko, i z twarzą, śmiertelnie bladą czekał dalszych pytań.

— A jednak powinieneś pan był go widzieć, jeżeli stałeś rzeczywiście na wskazanem mi miejscu, — mówił Tredwell spokojnie dalej.

Te słowa, wymówione z zupełną nieomylnością zdawały się Walerego do rozpaczy doprowadzić. Bezradnie obejrzał się wokoło jak gdyby szukał czyjejś pomocy, ale ponieważ nikt mu z nią nie spieszył, przeto zebrał raz jeszcze wszystkie swoje siły.

— Nie rozumiem, w jaki sposób chcesz mi pan to dowieść? — rzekł drżącym z wewnętrznego strachu głosem. — I zkąd pan wiesz tak dokładnie, że ów handlarz pukał do drzwi, podczas kiedy ja byłem w mieszkaniu pani Klimmer? Czy nie mógł on tam być poprzednio, albo przyjść po mojem odejściu?

Mówił to tak rozpaczliwie i błagalnie, że publiczność uczuła się wzruszoną. Nawet Byrd zaczynał wierzyć w jego niewinność.

Ale coroner pozostał nieugiętym. Podał Walentemu zapisaną kartkę papieru i rzekł sucho:

— Rachunek ten bardzo jest prostym, mój panie! Powiedziałeś, że prosto ztąd poszedłeś na dworzec i że miałeś tylko tyle czasu, aby wskoczyć do wagonu. Na to potrzeba zaledwie siedmiu minut, a zatem dwie minuty przed dwunastą byłeś jeszcze w mieszkaniu wdowy. Handlarz natomiast był tamże pięć minut przed dwunastą, więc w czasie, kiedy pan z wdową jeszcze rozmawiałeś. Tymczasem pan twierdzisz, że go nie widziałeś, chociaż mogłeś bardzo dobrze przejrzeć całe podwórze.

— Czy tu chodzi o astronomiczne tabele? — krzyknął młodzieniec teraz znowu rozgniewany, — że pan tak dokładnie obliczasz minuty? Zkąd wiesz, że ów handlarz podał czas tak szczegółowo? Najmniejsza omyłka niszczy całą twoją umiejętność liczenia!

— O dokładności czasu nie można tym razem wątpić, — odrzekł Tredwell. — Czterech panów stojących przed sądem słyszało godzinę dwunastą właśnie w chwili, w której handlarz skręcał na ulicę, oprócz tego zeznało kilka wiarogodnych kobiet, że na zegarze ratuszowym brakło pięć minut do dwunastej, gdy handlarz zbliżał się do domu pani Klimmer. Ale dla zupełnej pewności możemy jeszcze lepiej tę rzecz wyjaśnić. O której godzinie wyszedłeś pan z hotelu?

— Nie wiem!

— Ja zaś wiem! Mogło być mniej więcej dwadzieścia minut przed dwunastą, może nawet prędzej, ale nie później. Wiem to ztąd, że dzieci pani Dayton z sąsiedztwa bawiły się przed domem kilka minut przed przybyciem handlarza. Ponieważ dzieci pana nie widziały, przeto musiałeś być już w mieszkaniu wdowy, a więc byłeś tam o trzy kwadranse na dwunastą.

— A gdyby tak było? — zawołał Walery gwałtownie.

— Gdybyś pan o trzy kwadranse na dwunastą był tu, w tym domu, i gdybyś wyszedł dwie minuty przed dwunastą, gdyby rozmowa twoja z wdową ograniczała się tylko na tem, coś nam powtórzył, a więc nie trwała dłużej, jak dwie minuty, to wtedy zachodzi pytanie, gdzie pan byłeś w czasie pomiędzy waszą rozmową a chwilą, w której dom ten opuściłeś?

Teraz nie było już ratunku. Piękny i wytworny młodzieniec, który na wszystkie pytania dotychczas miał zawsze odpowiedź, milczał obecnie i stał z pokornie pochyloną

głową. Usta jego szeptały jakieś niezrozumiałe słowa, żyły na czole nabrzmiały, a cała jego powierzchowność wyrażała tak wyraźnie ciężką winę, że niejedno oko odwróciło się od niego z pogardą i wstrętem.

Coroner milczał także przez chwilę.

— Odpowiedz pan! — rzekł nareszcie.

— Panie, — szepnął Walery — jest to okropnem dla uczciwego człowieka, jeżeli go ktoś w ten sposób bada. Ale powiem prawdę. Otóż nie opuściłem domu wdowy tak prędko, jak to poprzednio mówiłem, pozostałem jeszcze z pięć minut w małej sionce, wiodącej na ulicę. W tym czasie musiał handlarz przejść podwórze i zapukać do drzwi kuchennych.

Coroner spojrzał na niego i uśmiechnął się zadowolony. Sprawa była teraz, podług jego zdania, zupełnie jasną. Hildret zarumienił się, ale nie spuścił oczu.

— I cóż pan robiłeś w sieni? — zapytał doktor chłodno.

— Namyślałem się. Czy to pana dziwi? — zawołał Hildret. — Zaręczam, że miałem rzeczywiście powody do namysłu, po rozmowie, która niweczyła wszystkie moje nadzieje. Byłbym może rozsądniej uczynił, gdybym był od razu wskoczył w wodę, albo odebrał sobie życie w inny sposób.

Czy można było lepiej określić rozpaczliwe położenie, w jakiem się znajdował w owej chwili? Hildret poznał to sam, gdy już było za późno; pot wystąpił mu na czoło, a oczy przybrały wyraz najwyższej trwogi. A jednak próbował raz jeszcze bronić się od okropnego podejrzenia.

— Słuchaj pan, — rzekł składając ręce, mówię szczerą prawdę! Po wyjściu z pokoju nie widziałem już pani Klimmer! Może bez mojej wiedzy, był już morderca w domu, podczas kiedy ja się tam znajdowałem, ale nie widziałem go i nie wiem, kto ją zamordował!

Słowa te wywarły pewne wrażenie na publiczności, coroner jednak i sędziowie przysięgli uważali go za winnego. Najlepszym tego dowodem były pytania, jakie zaczęli stawiać.

— Powiedz pan, — rzekł jeden z przysięgłych, — dlaczego wróciłeś wczoraj znowu do Sibley?

— Czytałem w gazetach o śmierci pani Klimmer, — odparł Hildret bez namysłu, i chciałem się jaknajprędzej dowiedzieć bliższych szczegółów!

— Więc tylko z ciekawości przyszedłeś pan tu dzisiaj?

— Tylko z ciekawości!

— Dlaczego zapisałeś się pan w książce hotelowej pod innem nazwiskiem?

— Tego sam nie wiem. Zdawało mi się, że lepiej będzie, jeżeli nikt się o moim pobycie tutaj nie dowie!

— Czyli mówiąc innemi słowami, obawiałeś się tego!

— Nie potrzebuję się niczego obawiać, — odpowiedział Hildret, podnosząc głowę. — Nie przeczuwałem też nigdy, jak tu ze mną postępować będą.

Przysięgli spojrzeli na coronera, jak gdyby go zapytać chcieli, co im teraz uczynić wypada.

— Panowie, — rzekł Hildret nieco odważniej — jeżeli dotychczas nie oskarżyliście mnie jeszcze o popełnienie zbrodni, to jednak podejrzywacie mnie o nią. Nie dziwię się, bo któżby miał uwierzyć w moję niewinność wobec takich dowodów! Moje własne słowa świadczyły przeciwko mnie. Uczyńcie to, co wam obowiązek nakazuje. Mnie już nie przeraża myśl, że jestem w waszem przekonaniu mordercą, i jestem gotów iść do więzienia. Po tem, co zaszło, mogę sobie tylko życzyć, jak najściślejszego śledztwa, abym miał sposobność przekonania was o mojej niewinności.

Większa część publiczności uczuła się mocno wzruszoną, ale fakta przemawiały tak bardzo na jego niekorzyść, że trudno było uwierzyć w jego niewinność.

Badanie trwało dosyć jeszcze długo, nic nowego jednak nie wyszło na jaw. Coroner kazał przywołać kilku świadków po raz drugi, wszystko zaś dowodziło aż nadto wyraźnie, że uwięzienie Hildreta jest tylko kwestyą czasu.

Pod temi warunkami postanowił Byrd, który upadał ze zmęczenia, wrócić do domu i nie czekać już końca posiedzenia. Zeskoczył więc z ławki i nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, wyszedł z ogrodu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Próba.

Był Walery Hildret rzeczywiście winnym?

Pytanie to stawiał sobie Byrd, bo chociaż wszystko przeciwko niemu świadczyło, to jednak powstały w sercu Byrda pewne wątpliwości, których nie mógł się pozbyć. Jego podejrzenia, zwracające się w inną zupełnie stronę dręczyły go nieustannie, to też przypuszczał teraz, że Hildret stał się ofiarą nieszczęśliwych warunków i że właściwego mordercy gdzieindziej szukać należy.

Ale sprawa ta zaczynała go już nudzić, byłby się chętnie z niej wycofał, powstrzymywała go jednak myśl, że może zdoła udowodnić niewinność Hildreta i wydać prawdziwego zbrodniarza w ręce sprawiedliwości.

Pomimo tego wszystkiego czuł ogromny wstręt do rozpoczęcia badań na swoją rękę i do rozwiązania tajemnicy otaczającej Iwonę Dare. Dziewczyna ta oczarowała go formalnie, tak, że byłby wolał zginąć, niż narazić ją na niebezpieczeństwo. I zanimby się poświęcił trudnemu zadaniu, zmuszającemu go do słuchania tylko głosu obowiązku i sumienia, postanowił wykonać śmiałą dosyć próbę. Jeżeli by się przekonał, że Iwona posiada rzeczywiście klucz do tej zagadki, której coroner nie domyślał się nawet, w takim razie wypełni bez namysłu swoją powinność.

Przedewszystkiem udał się do adwokata Ferrisa, od którego usłyszał, że Hildret jest chwilowo pod dozorem policyi, i zapytał go; czy nie mógłby otrzymać od niego jakiego polecenia do Orkuta. Tym sposobem miałby wolny wstęp do jego domu i sposobność bliższego poznania Iwony.

Ferris wypełnił natychmiast jego życzenie i Byrd pośpieszył do mieszkania Orkuta. Ale plan jego nie powiódł się, Orkut bowiem tak był zajęty, że nie mógł go wcale przyjąć, a gdy zapytał o pannę Dare, dowiedział się, że Iwona jest u swej przyjaciółki, panny Tremen, i że wróci dopiero na początku przyszłego tygodnia.

Zły i niezadowolony wracał Byrd do domu, zaledwie jednak uszedł kilkadziesiąt kroków, gdy usłyszał wesołą piosenkę i ujrzał jednego z śpiewaków kościelnych, z którym niedawno miłą zawarł znajomość. Młody śpiewak zbliżył się zaraz do niego, i tak rozmawiając żywo, szli razem dalej.

Nagle stanął śpiewak przed wysoką, piękną kamienicą.

— Muszę tutaj pana pożegnać, — rzekł, podając Byrdowi rękę, — dziś jest wieczorek muzykalny u państwa Tremen, na który mnie także zaproszono. Znasz pan pannę Tremen? Ojciec jej jest dyrektorem gimnazyum. Jeżeli pan masz czas, to pójdź ze mną. Są to bardzo gościnni ludzie i ręczę, że się dobrze zabawisz!

— Jakie niespodziewane szczęście — pomyślał Byrd uradowany.

Dał się jednak pozornie prosić jeszcze, zanim przystał na propozycyę pana Lorsa, nie chciał bowiem wzbudzić w nim żadnego podejrzenia. Po kilku minutach wchodzili obydwaj do rzęsiście oświetlonego salonu, w którym już dosyć dużo osób się znajdowało. Lors przedstawił swego znajomego, dyrektor i żona jego powitali go uprzejmie i wkrótce rozpoczęła się ogólna, nader ożywiona rozmowa. Teraz weszła też do pokoju Iwona w towarzystwie swej przyjaciółki, i Byrd zwrócił natychmiast na nią całą swoją uwagę.

Iwona bardzo była blada, uśmiechała się przymusowo, a oczy, otoczone sinemi obwódkami świadczyły o bezsennej nocy i łzach. Pan Lors pospieszył do niej, Byrd zaś zbliżył się do panny Tremen.

— Słyszałaś pani zapewne, — zaczął bez długich wstępów, o owej tajemniczej zbrodni, którą tu w mieście popełniono. Znasz pani bliższe jej szczegóły?

— Nie, — odrzekła młoda dziewczyna, — ale okropny ten wypadek zajął mnie bardzo. Znaliśmy dobrze panią Klimmer. Czy odkryto już mordercę?

— Tak, nie udowodniono mu wprawdzie jeszcze jego winy, ale podejrzenie ciąży na nim, i.....

W tejże chwili stanęła obok nich Iwona, blada jak ściana.

— Bawisz pan od kilku dni dopiero w naszem mieście, — rzekła, usiłując panować nad sobą, — zostaniesz długo jeszcze tutaj?

Oczy jej spoczęły na jego twarzy z wyrazem niepokoju, widać jednak było, że nie poznaje go wcale.

— Nie wiem, zależeć to będzie od rozmaitych okoliczności. Miasto jest pięknie położone i podoba mi się, może być, że nie wyjadę tak prędko!

Panna Tremen tymczasem przeszła do przyległego pokoju, Lors i reszta gości podążyli za nią, tak, że Iwona i Byrd pozostali na chwilę sami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wspomnienia lat dziecinnych.

Wicher huczy, hula w borze.
Drzemie w śnieżnym świat welonie —
W modrzewiowym starym dworze
Na kominku ogień płonie.
Przy kominku dziadek siwy
Rad, że wspomni czasy dawne,
Opowiada wnukom dziwy,
Swej przeszłości czyny sławne.
Ogień trzaska na kominie,
Dziadek wsparł na dłoni głowę,
Z ust mu potok słów wciąż płynie,
Opowieści coraz nowe.
Wszystkie baśnie starodawne
Wydobywa z swej pamięci,
Przypomina czyny sławne —
I łza w oku mu się kręci.
A wnuczęta rzędem sobie
Cicho stoją w krąg — ciekawi
Nasłuchując — w nocnej dobie —
Co za dziwy dziadek prawi.
Chwilka idzie po za chwilką,
Łza dziadkowi z oczu płynie,
Czasem mu gawędę tylko
Przerwie ognia trzask w kominie.
Ogień trzaska, dziatwa słucha....
Dziadek z smutku się otrząsa, —
W sercu jego znów otucha,
Więc pokręca dumnie wąsa.
Wspomniał czasy dobrze znane —
Wiek młodości, wiek ów złoty,
Uniesienia młodociane,
Młodociane figle, psoty.
Wicher wciąż za oknem biada...
Dziatwa słucha, stojąc w koło,
Dziadek dalej opowiada,
Lecz bez łzy już, a wesoło!
Wiosko moja, wichrze, lesie
I ty stary ojców dworze,
Chociaż do was serce rwie się,
Oko widzieć was nie może!
Przeminęły moje lata,
Przepłynęła młodość rzeką
I — samotny pośród świata,
Jam dziś od was tak daleko!
Czy mi kiedy będzie dano
Wrócić do was choć przed zgonem —
I co wieczór — i co rano
Pacierz mówić pod jesionem.
Pod jesionem, lipą starą
Modlić się do Stwórcy świata,
Z tą pokorą, z taką wiarą,
Jak w dziecięce zbiegłe lata!
Wiosko moja, wichrze, lesie,
Modrzewiowy ojców dworze —
Chociaż do was serce rwie się,
Oko widzieć was nie może!

Tadeusz Kończyc.

Tak to bywa.

Nowelka.

Czarowny zachód słońca oblewał tajemniczem światłem pięknie położoną wioskę Żabno. Tuż przy białych, czysto utrzymywanych chatkach wieśniaczych płynął bystro mały strumyk, przez który prowadził drewniany mostek, mocno zębem czasu napsuty. Po drugiej stronie strumyka wznosił się gęsty las, w którego cienistych gąszczach rozlegał się uroczy koncert słowików, zanoszących modły swemu Stwórcy i Panu.

Na mostku stał młody wieśniak, odziany w czerwoną kurtkę i szare obcisłe spodnie; z pod słomianego kapelusza wypływały pukle jasnych jak len włosów, a twarz, lekko ogorzała, zdradzała wyraz pewnej inteligencyi, którą nie zawsze można znaleźć pośród prostego ludu, pracującego w czoła pocie na chleb powszedni. Błękitne oczy wieśniaka ze smutkiem i w głębokiej zadumie patrzały na cicho szemrzącą wodę strumyka, bo cóż go obchodził świat cały, kiedy ona, jego ubóstwiana Zosia przestała go kochać i oddała serce innemu?...

Naraz drgnął. Z lasu dał się słyszeć rzewny śpiew dziewiczy:

Gdyby rannem słonkiem,
Wzlecieć mi skowronkiem,
Gdyby jaskółeczką
Bujać mi po niebie...

Wieśniak słuchał jakby zachwycony, a śpiew zbliżał się i stawał coraz wyraźniejszy:

Gdyby rybką w rzece —
Płynąć tu do ciebie,
Jaśku mój, do ciebie.

Patrzał jakby zahypnotyzowany w las, z którego ciemnych krzów wychyliła się teraz nadobna postać młodego dziewczęcia. Krucze włosy spadały jej w grubym warkoczu aż do pasa, a wielkie, również ciemne oczy, zasłonione długą brwią, patrzały z lekką melancholią, ale zarazem i figlarnością na ten świat Boży, tak piękny i wesoły. Czerwony gorsecik ściskał jej biodra, a niebieska sukienka, sięgająca kostek, dopełniała malowniczego ubioru. W ręku miała kosz agrestu i tak wesoła jak ptaszę, zwracała swe kroki ku mostkowi.

Po chwili wstąpiła na kruche deski, a zoczywszy wieśniaka, stanęła chwilę niezdecydowana, czy iść dalej, ale spostrzegłszy jego błagalne wejrzenie, podeszła ku niemu.

— Czego to czekasz tu na mnie? — zapytała hardo nieco. — Wiesz dobrze, że tatuś nie pozwolili mi z tobą romansować, to i mi daj spokój.

— Zosiu! — odparł młodzieniec z niezmiernym smutkiem — ja cię kochałem, to prawda, i teraz cię jeszcze kocham, ty najlepiej wiesz o tem, lecz dziś czekałem, nie, żeby o miłości ci mówić... o nie! przyszedłem pożegnać ciebie; po raz ostatni chciałem ujrzeć miłą twą twarz, a potem, potem choćby i umrzeć...

Przez chwilę głuche panowało milczenie, tylko śpiewnemi modły słowików mącone, wreszcie szepnęła dziewczyna z współczuciem:

– Żal mi cię, Janku, chętniebym była twoją, ale... widzisz... tatuś nic o tem wiedzieć nie chcą, wolą raczej za zięcia Macieja, bo Maciej bogaty; a ja słuchać muszę rodziców, nam Bóg tak każe...

— Więc żegnaj mi luba! żegnaj i bądź szczęśliwa, choć serce mi mówi, że z Maciejem szczęścia nie znajdziesz!...

* * *

— Nie zatrzymujcie mnie, matko, ja zostać tu dłużej nie mogę; muszę uciekać z miejsc mych rodzinnych, bo umrzeć by mi przyszło, patrząc na to, jak inny bierze Zosię za żonę — i jeszcze taki Maciej, hulaka!

— Przebolej ten zawód, kochany mój synu — rzekła matka, a płacz drgał w jej głosie — zapomnisz z czasem o niej i znajdziesz szczęście z inną...

— Z inną?! — przerwał jej gwałtownie, a zarazem i smutnie Jan. — Z inną? Nie, matko, jedna Zosia szczęście dać mi mogła, teraz, kiedy ona dla mnie stracona, ja o żadnem innem szczęściu marzyć nie mogę i marzyć nie chcę!...

Opuścił głowę na piersi i tylko ciężkie westchnienia mówiły, że to człowiek żywy jeszcze.

— Wspomnij na stare me lata — zaczęła znów matka. — Może Bóg już niedługo mi da pożyć i pójdę za ojcem twym w zimną mogiłę. Pracuj na ziemi ojczystej, tylko tu jeszcze szczęście zakwitnąć ci może, gdy tymczasem gdzieindziej w rozpaczy żyć będziesz.

— O, matko moja! — odparł Jan z łzą w oku. — Ja was kocham nad życie, lecz tu, w wiosce mej rodzinnej pracowaćbym nie umiał. Ja muszę was opuścić i iść daleko w świat, gdzie prędzej może zapomnę o wszystkiem, nie widząc Zosi. Tu z wami zostanie Kuba, i on synem waszym, poczciwy to chłopak, on was na starość nie porzuci, jak ja niewdzięcznik to czynię.

Tu uśmiechnął się, ale tak smutnie, że stara matka głośnym wybuchła płaczem i uwiesiwszy się na szyi jego, łkała i nie mogła się utulić.

* * *

I Janek, skoro zawitał dzień nowy, opuścił co miał najdroższego i poszedł w świat szeroki dorabiać się majątku, niestety! dla kogo?

Posiadał on, jak na wieśniaka, niepospolite wykształcenie, które nabył od nauczyciela. Nauczyciel, odkrywszy w nim znakomite zdolności, kształcił chłopaka i po za godzinami szkolnemi. W ten sposób rozszerzył się jego widnokrąg umysłowy tak, że uważał małżeństwo już nie za niewolnicze skojarzenie dwóch istot różnych płci, ale dał się opanować miłości, którą uważał za podstawę harmonijnego pożycia małżeńskiego.

* * *

Lata płyną, niby potok rwący, zabierając ze sobą wszystko i wszystkich i tylko martwe zostawiając wspomnienia.

I znów jest zachód słońca; znów czerwone i tajemnicze jego światło oblewa białe zawsze chatki Żabna. Nic się tu nie zmieniło, nawet mostek nad strumykiem pozostał ten sam, choć bliskim groził upadkiem.

Na żwirówce, wiodącej ku wiosce, dały się słyszeć wesołe tony trąbki pocztarskiej. Ciężki wehikuł pocztowy zajechał przed karczmę i wysiadł z niego niemłody już mężczyzna, o jasnych włosach i błękitnych oczach, które z smętnym jakimś wyrazem patrzały dokoła. Popielaty płaszcz podróżny okrywał wysmukłą choć pochyloną nieco postać, a mała zgrabna walizka stanowiła cały jego pakunek.

Gospodarz karczmy, stary już człowiek, wybiegł czemprędzej na spotkanie gościa i zaprowadził go do pokoju, którego podróżny zażądał. Kiedy się drzwi za nim zamknęły, mruknął gospodarz do siebie:

— To dziwne doprawdy... Tak mi się zdaje, jakbym tego jegomościa już gdzieś widział, ale gdzie?... hm... hm...

I zamyślił się starowina tak, że nawet nie spostrzegł, jak wieśniak jakiś wszedł do izby gościnnej i dopiero donośne: „Hej! panie Adamie, szklaneczkę piwa!“ wyrwało go z zadumy.

Podał żądany napój, a potem wyszedł na podwórze, wciąż zajęty swym gościem. W tej też chwili otworzyły się drzwi alkierza, który zajął podróżny i wyszedł z niego nasz nieznajomy. Rozejrzał się po izbie, a ujrzawszy wieśniaka, twarz jego przybrała wyraz pewnego zadowolenia. Wieśniak zaś z swej strony pomyślał:

— Ehe, to widać jakiś wielki pan zajechał pod „Sarnę“. I wypiwszy spiesznie piwo, chciał karczmę opuścić, bo mu jakoś kłopotliwie było w obecności „wielkiego pana“, ale nieznajomy go zatrzymał.

— Czy dawnoście we wsi? — zapytał.

Wieśniak zmiął czapkę i skrobiąc się po głowie, odpowiedział:

— Ano, panoczku, ponoć od samego urodzenia; dzieckiem tu się bawiłem, a parobkiem będąc, tu się dziewuchy bałamuciło, no, i teraz żyjemy tutaj szczęśliwie i pewno też tu złożą kości nasze na wieczysty odpoczynek.

— Więc znacie zapewne starą Grzegorzową, wdowę po Łuce, owczarzu, co to żyła z dwoma synami? — zapytał gorączkowo podróżny.

— A, i jak jeszcze! Toć Janek, starszy z nich, był moim najlepszym kamratem! — zawołał wieśniak, zapomniawszy na chwilę swej nieśmiałości. — Kochaliśmy się obaj jak bracia; biedaczysko, pewno tam już gdzie spoczywa w obcej ziemi; poczciwy to był chłopak, proszę pana — dodał smutnie wieśniak, podczas kiedy po twarzy podróżnego przesunął się nieznaczny uśmiech, — ale zakochał się w Zośce, córce bogatego młynarza i...

— Czy żyje Zosia? czy żyje ona jeszcze?! — przerwał prawie gwałtownie nieznajomy.

Wieśniak spojrzał zdziwiony na niego, co spostrzegłszy podróżny, mówił dalej:

— Czy mnie nie poznajesz, Jędrzeju? Ja jestem tym Jankiem, co pokochał Zosię, a nie uzyskawszy pozwolenia ojca, opuścił wioskę rodzinną, ojczystą ziemię i udał się do Ameryki, gdzie, dorobiwszy się dość znacznego mienia powracam, bo mnie tęsknota za niebem rodzinnem pożerać poczęła, niby piekła płomienie; a teraz mów mi, mów jaknajprędzej, jak się ma Zosia, czy szczęśliwa, czy stara moja matka żyje jeszcze, czy Kuba wypełniał sumiennie swoje względem niej obowiązki?...

Lecz Jędrzej uściskawszy wprzódy swego dawnego przyjaciela, szepnął smutnie:

— Niestety, Janku! Dziwnie się to niekiedy dzieje na świecie... — a spostrzegłszy niespokojną twarz Janka, dodał: — Posłuchaj, jak się to wszystko stało:

W kilka miesięcy po twojem opuszczeniu naszego kochanego Żabna, kiedyśmy się wszyscy spodziewali wesela czarnobrewej Zosi z Maciejem, rozeszła się pewnego dnia lotem błyskawicy wieść, że Maciej, skradłszy ojcu sporą sumę pieniędzy, zniknął ze wsi i nigdzie go odnaleść nie było można. Ojciec jego wnet przebolał stratę pieniędzy i syna się wyrzekł, a i rodzice Zosi nie bardzo go żałowali, spodziewając się wnet znaleść stósownego męża, bo przecież była ona najładniejszą dziewką we wsi. Lecz niestety! los chciał inaczej. Zosia od pewnego czasu nie pokazywała się we wsi; ludzie mówili, że boleje nad stratą Macieja. Pokazało się jednak co innego.

— Wieśniak przerwał na chwilę, potem dodał głosem stłumionym:

— Zosia straciła wianek dziewiczy...

— Boże! Boże! — jęknął zgnębiony Janek, a Jędrzej mówił dalej:

— Ciężki to był cios dla jej rodziców, to też matkę wywieziono w dwa miesiące później na cmentarz, a ojciec wnet poszedł za nią. Biedna Zosia została sama ze swą dzieciną, lecz nie tracąc odwagi, zajęła się gospodarstwem, by zapewnić byt swej córeczce. Ciężka to była praca, to też siły kobiece podołać jej nie mogły. Zbytni wysiłek przykuł ją do łoża boleści, a gospodarstwo, pozostawione opiece sług, zaczęło upadać i upadać. Zosia musiała sprzedać rolę, aby tylko wyżywić siebie i swą dziecinę. Siły opuszczały biedną kobietę coraz bardziej, aż pewnego dnia i ją ziemia przykryła.

Wieśniak skończył wzruszony, a Janek mówił z wyrzutem:

— A wy, widząc bezsilną kobietę, upadającą pod ciężarem pracy, nie mogliście jej podać ręki pomocnej, by się dźwignąć mogła z nieszczęścia?

— Nie chciała przyjąć żadnej pomocy, ot, wiesz, jak to ona! Dumną była, choć ją nieszczęście przygniotło — bronił się Jędrzej.

— A cóż stało się z córką jej? — zapytał ponownie Janek.

— Zrazu nikt nie chciał się sierotą zająć, aż wreszcie matka twoja, choć sama nie wiele mając, wzięła dziecko do siebie i u niej się też chowa; ładna dziewucha, niby druga Zośka; szesnasty jej teraz rok idzie, a dzielnie pomaga swej opiekunce, co ją do siebie przytuliła.

— Kochana matka, ona się zawsze dla drugich poświęcała! Dzięki jej za to, że się zajęła dzieckiem nieszczęśliwej Zosi! — zawołał wzruszony Janek, a potem dodał:

— Pewno już bardzo słaba matula! Chodź, prowadź mnie do niej, niech serce matczyne przytuli do siebie syna powracającego! Czyż dobrze jej się wiedzie?

— Teraz jako tako — odrzekł Jędrzej — choć i jej los zawistny dokuczył. Kuba...

— Cóż uczynił Kuba? Czy i on opuścił matkę? — przerwał z niepokojem Janek.

— Nie! Kuba nie żyje!

— Kuba umarł? — zapytał przerażony Janek.

— Tak! Poległ w świętej walce za wolność Ojczyzny; kiedy bowiem moskiewskie hordy wpadły do kraju, by przywłaszczyć sobie ojczyste nasze niwy, on razem z innymi porwał za kosę, by wywalczyć całość i wolność ciemiężonej Ojczyźnie i poległ.. kula moskiewska pierś mu rozdarła.

— Niechaj spoczywa w spokoju i niech mu lekką będzie ziemia, jęcząca w ciężkich okowach niewoli — mówił ze smutkiem Janek, a potem, wznosząc oczy błękitne ku górze, dokończył:

— Więc nie darmo pracowałem, nie daremnie zbierałem złoto, by pleśnieć miało nietknięte, mam teraz cel przed oczyma, woła mnie obowiązek syna i przyszłość dziecka mej Zosi!...

Konstanty Sępik.

Poszli.

Poszli — za nimi jęk ozwał się głuchy
Jakgdyby ziemia z boleści konała —
To za synami ojców płaczą duchy,
Matka-Ojczyzna za dziećmi wołała:
Zostańcie tutaj! o zostańcie z nami!
Wy co tak byli sercu memu blisko
Dzisiaj idziecie na urągowisko
Płaszczyć się — niżyć — pod kata stopami!

Poszli — za nimi biegły ludu płacze
Co w poniewierkę iść miał w obce strony,
I wieść tam życie w tęsknocie tułacze,
Wspominać wiecznie raj swój utracony.

Poszli — za nimi skargą drzewa szumią,
I kwiaty więdną i niebo blednieje —
Lecz obojętni skarg tych nie rozumią,
W ich sercach miłość ziemi tej nie tleje —
Nad skarby wszystkie najmilsze im złoto.
Niechaj za nimi skargi w niebo biją,
Niech się w cierpieniu ludzkie serca wiją —
O! i nad własną nie płaczą sromotą.

Poszli — za nimi przez tych pól obszary
Głos dziwny płynie: o biada wam biada,
I dla was kiedyś dzień nadejdzie kary,
I przed oczyma stanie mara blada,
By strasznym głosem zapytać: Wyrodni
Coście zrobili z grobami naszemi;
Coście zrobili z światłem tej pochodni,
Którą przyświecać mieliście swej ziemi?

O! za część każdą tej straconej roli
I za łzę każdą tych co dla was płaczą,
Poznacie i wy jak pogarda boli,
Jak ciężko co dnia poić się rozpaczą.

Wy dziś idziecie z tryumfu obliczem
I szał was jakiś upojeń otacza,
Bo nie myślicie jak przyszłość naznacza
Tych, co doń idą z sumieniem zbrodniczem.

Marya Sokolnicka.

Marcinkowo, 14. VIII. 1900.

Królowa kwiatów.

Legenda.

Pierwszy krzak różany wysunął się z pod ziemi w tym samym dniu, w którym Wenus wyszła z łona fal morskich; kropla nektaru, przez bogów rozlanego, padła na krzew młodziutki i okrył się kwiatem piękności niezwykłej. A może zrodziła się róża z uśmiechu Amora? Może też, gdy jutrzenka trefiła swoje w purpurze skąpane włosy, wypadła z tych splotow blask siejących? Dość, że zstąpiła na ziemię i mocą wdzięków zapanowała w państwie Flory wszechwładnie i dotąd, choć podmawiane przez ludzi różne tego państwa dzieci sięgały po koronę, wonne jej czoło zdobiącą, króluje niedoścignięta w swojej urodzie.

Nieskalaną jej białość pierwotną zabarwiła krew Amora.

Pewnego dnia dziewice, ofiary jego figlów, przechadzały się smutne i zgnębione pod cieniem drzew Pól Elizejskich, nad brzegiem jezior nieruchomych i strumieni, bez szmeru płynących. Naraz spotkały psotnika, który niebacznie między nie się zabłąkał, a jego widok obudził w ich sercach dawne bóle. Otoczyły go, pociągnęły z sobą i przywiązawszy do pnia drzewa mirtowego, obsypywać zaczęły wyrzutami i poddały długim udręczeniom. Zaniepokojona tą wrzawą nadbiega Wenus, nie niesie wszakże pomocy synowi swojemu, lecz przypominając sobie wszystkie jego zdrady, przyłącza się do nieszczęśliwych dziewic, oskarża go również i nieubłagana bukietem róż uderza dziecko rozpłakane i drżące. Pod ciosem giętkich kwiatów wytryskuje ze skóry rozdartej krwawa rosa i róża rumieni się szkarłatem.

Niewiadomo jednak, czy barwy swojej świetnej nie zawdzięcza królowa kwiatów Adonisowi. Ugodzony przez dzika, konał w objęciach zalanej łzami Wenery, a krew, ciekąca z jego rany śmiertelnej, padała na kwiaty, dotąd białe, i okryła je purpurą.

Zrodzona w jednym dniu z Wenerą, krew Amora czy Adonisa w żyłach swoich nosząc, stała się róża kwiatem miłości i rozkoszy. Obdarzali się nią wzajemnie kochankowie, wieńczyli nią skronie bachusowych wybryków naśladownicy, zdobiły się nią hetery.

Różę białą i czerwoną, symbol czystości, miłości i wierności dozgonnej, zesłali na ziemię bogowie. Żółta róża jest dziełem ludzi, barwę nadała jej „kropla żółci, a hasłem jej — zazdrość.

W.

Sursum Corda!

Są chwile w życiu stanowcze na lata,
Gdy powszedniości pomijając prawa,
Bóg sam do ludzkiej duszy zakołata:
Ofiary żąda lub natchnienie dawa —
I błogo duszy, gdy do tego Gońca
Zwróci się cała, jako kwiat do słońca!
Lecz kiedy skąpą, zimną się okaże,
Dla Boga życia oddać nie gotowa,
Gdy większą miłość dla stworzenia chowa:
Sama się z księgi zbawienia wymaże,
Potem iść musi długo śród łez, trudu,
Gdzie wznieść ją miała jedna chwilka cudu.

Są i w narodów życiu takie chwile,
Gdy Bóg się w sercach objawia w Swej sile,
I nie widziany, lecz duszą odczuty,
Do wielkiej pracy woła lub pokuty.
A kiedy naród, słysząc ten głos Boży,
Całą mu duszę roztworzy
I całem sercem na służbę się uda —
Bóg mu da w zamian siłę wielkoluda,
I kark mu wrogów da podeptać dumny,
A gdy potrzeba, obudzi i z trumny!

Jana Kaźmierza czyż nie znane lata,
Gdy jak hyeny krwawe z wszech stron [świata,
Dzikie się wrogi w serce Polski wdarły
I już jej tułów szarpały umarły?!...
A głos, co z świętej wyszedł Częstochowy,
Piorunem runął na najezdców głowy,
I cały Naród powstał w imię Boga
I w proch starł wroga! —
Bóg dla miłości, nadziei i wiary
Wstrzymał Anioła ostatecznej kary.

Lecz kiedy Naród, niepomny tej kaźni,
Z serc mądrość Bożej odrzucił bojaźni —
Oddał go Pan Bóg w sromotną niewolę,
I piętno gniewu wyrył mu na czole:
Choć jak ptak w klatce rzuca się i miota —
Daremne walki i próżna ofiara,
Dopóki w sercach nie odżyje wiara
I miłość bratnia i cnota!

Gdzież to idziemy? — przebóg! gdzie nas [wiodą?!..
Slepi na duchu, widząc tylko złoto,
Jedni w moskiewskie chcą zawlec nas błoto;
Drudzy, wyzuwszy z Boga duszę młodą,
Mrzonki zachodnie na polski grunt szczepią,
Myśląc, że z gliny tej Polskę ulepią —
Lub nawet bluźniąc pamięci Ojczyzny,
Dłoń świętokradzką w krwawe nurzą blizny;
Swięte przeszłości w proch miecą ostatki,
By giełdę stawić na mogile Matki!...

A wrogi nasze, jak w żelazne kleszcze,
Schwyciły naród z wschodu i zachodu;
Ostatki życia pragną wydrzeć jeszcze,
Ostatnią zdobyć warownię Narodu:
Język i wiarę! — Niema kąta ziemi,
Coby krwią, łzami nie przesiąkł naszemi;
Pomiędzy wszystkie rzuceni narody,
Na słońca żary, na północne lody,
Płaczem od wieku, oczy w niebo wznosim,
Ufni, że w końcu Ojczyznę wyprosim...
A niebo milczy, bo patrzymy hardo,
Choć łachman z dawnej został nam purpury —
Wrogi w oblicze plwają nam pogardą
I już zagłady gotują tortury.
Krew nie obeschła, której chrztem obmyci,
Dotąd niezłomni w łzach trwają Unici;
A Wielkopolan nieszczęsnych tysiące
Z ojczystej siłą wyparto dziedziny,
Żebrzące pracy, a chleba łaknące:
Niewiasty, męże, starce i dzieciny...

Bez miłosierdzia wróg obszedł się z nimi,
Ani go dziatek płacz wstrzymał niewinny;
Dusz i serc związek stargano rodzinny —
W tułactwo z własnej wypędzeni ziemi,
Tu mąż bez żony, tam bez męża żona,
Wśród obcych biedna płacze opuszczona...
Lecz nie rozpacza, choć dola tak sroga,
Bo ona kocha, ufa — wierzy w Boga!
O Panie! w Tobie nadzieja jedyna!
Wszak na tej ziemi wszystko się zaczyna
I wszystko kończy...w tej chwili przełomu
Ty nas z strasznego ocalisz pogromu —
Przejdzie noc ducha; przejdzie to, co boli —
I wrogów przemoc i ten sen niewoli;
A z czasów przyszłych wiekuistej toni
Twego Królestwa Swiatłość się wyłoni.
Kiedy się Tobie o Panie ukorzym
I u stóp tronu Twego serca złożym;
Kiedy uwierzym, że nad zmysłów złudy
Ideał tylko jest wieczny, prawdziwy,
Swięty, wszechmocny, mądry, sprawiedliwy;
A ideałem tym — Ty, cud nad cudy:
Panie! nie wzgardzisz wtedy serc ofiarą
I dobrą wolą — ale za tą wiarą
Wrócisz nam łaskę i wstąpisz do duszy —
Duch Twój jak dzwonu serce ją poruszy,
I z serc tysiąców dzielnych, pełnych Boga,
Uderzy w niebo tryumfu pieśń błoga!...
Już słychać łoskot strasznej zawieruchy —
W dali przyszłości widnieje już droga —
O czas nam odżyć na nowo!
W górę serca, w górę duchy!
Witaj jutrzenko nadziei,
Witaj Maryo — Królowo!
Najwyższa z Bożych idei,
Ty, co zrodziłaś Słowo,
Prowadź nas Matko Boga!

Wincenty Stroka.

Kronika.

Odebrałem w tych dniach list dosyć ciekawy, więc się nim podzielę z szanownymi Czytelnikami „Pracy.“ List brzmi: „Szanowny Verusie! Wpadła mi w rękę „Posener Zeitung.“ Czytam pod rubryką polskich wiadomości, że chociaż Sokolstwo wystrzega się wszelkiej polityki, *uścisk ręki i wymowne spojrzenie starczą, aby wywołać myśl niebezpieczną dla państwa.* Z tych słów wynika, że hakatyści chcieliby nam zabronić szczerego uścisku ręki i wymownego spojrzenia. Jestem z natury nieco przekornym, więc, przeczytawszy owe słowa, pomyślałem zaraz: Na złość im załóżmy Towarzystwo: *„Szczerego uścisku dłoni i wymownego spojrzenia.“*

Ba! Lecz czem się to Towarzystwo ma zajmować? Sam tytuł wskazuje mu drogę. Ma ono ćwiczyć swych członków w umiejętności wyrażania całej skali uczuć uściskiem dłoni i wymownem spojrzeniem. Towarzystwo to po pewnym czasie bardzo się stać może niebezpiecznem dla państwa pruskiego, bo nie ma nic niebezpieczniejszego jak Towarzystwo porozumiewające się przy pomocy sposobów niepochwytnych. A bodaj czy najsprytniejszy szpicel wypenetruje, co ma znaczyć taki lub inny uścisk ręki, takie lub inne spojrzenie. Jestem przekonany, że po pewnym czasie poczną

się sypać kary na owo groźne i niebezpieczne Towarzystwo. Zastanawiam się właśnie, jakiego to rodzaju kary mogłyby być. Więzienie? — Nie wystarczy, bo któż zabroni członkowi po odsiedzeniu kary znowu komuś uścisnąć dłoń i znowu wymownie spojrzeć. W tej chwili przychodzi mi na myśl okropna, do głębi wstrząsająca scena, opisana tak po mistrzowsku przez Sienkiewicza w „Krzyżakach.“ Na barłogu leży zmaltretowany olbrzym, pan na Spychowie. Głucha cisza wokoło, mrok ponury panuje w sklepionym lochu. Naraz rozlegają się kroki. Wchodzi stary krwi chciwy Krzyżak, za nim potworna postać Diedericha, kata, potem szamotanie się, jęki. — Straszna rzecz spełniona. Pan na Spychowie pozbawiony dłoni, leży z wykapanemi oczyma, a z ust płynie mu krew, bo i język mu wycięto. — Straszna szatańska — lecz nie — wystarczy powiedzieć: *iście krzyżacka zemsta!*

Otóż, policya mogłaby członków należących do przyszłego „*Towarzystwa szczerych uścisków dłoni i wymownych spojrzeń*“ karać również w ten sposób. Komu się dłoń utnie, ten już dłoni uścisnąć nie może, komu się oczy wykapie, ten już wymownych spojrzeń rzucać nie może. Zważywszy więc niebezpieczeństwo grożące członkom przyszłego Towarzystwa, dochodzę do przekonania, że tylko ludzie wielkiego hartu ducha do takiego Towarzystwa należećby mogli. Proszę umieścić to w przyszłej kronice. Przyjm itd.“

Tak brzmi list. Po przeczytaniu go zastanawiałem się, co to wszystko ma znaczyć? Jaka w tym liście myśl ukryta? — Po pewnym namyśle odgadłem intencyą autora: — Najpierw przebija z tego listu gorzka krwawa ironia, a wywołało tę gorycz krwawą nasze położenie. Dziś już wprawdzie minęły czasy mąk krwią ciekących i tortur zbryzganych miazgą łamanych kości.

Krzyżak nie ucina rąk, nie wykapuje oczu, nie wyrywa języka kleszczami tym, którzy idą upomnieć się o swe prawa, lecz nastał czas mąk i tortur gorszych, niż owe średniowieczne. Dziś uścisk dłoni, dziś szczere spojrzenie Polaka tak drażni hakatystę, że musi je oplugawić podstępną zjadliwością, dziś nie wyrywają nam języków kleszczami, ale prześladują mowę naszą, gorzej niż dawniej, wyrzucają ją ze szkół, prześladują ją na każdym kroku. I komu nie przyjdzie na myśl ów pan ze Spychowa, skrępowany, leżący na barłogu, a nad nim bezbronnym pastwi się kat. Czyż straszny ten obraz nie jest niejako symbolem naszego położenia? I my jesteśmy skrępowani szeregiem rozkazów i nakazów, i na nas bezwładnych wykonują rozmaite operacye. Raz wykluczają nas od nabywania ziemi, część więc naszych rodaków pozbawiona jakby pracowitych dłoni, bo na cóż im dłonie, jeżeli niemi pracować nie mogą na ukochanej ziemi? Na cóż oczy, jeżeli w szkole nie uczą poznawać znaków naszej mowy, liter?

Na cóż język, jeżeli dążą do tego, abyśmy całkiem o nim zapomnieli. Takie myśli obudził we mnie ten list, na razie mało zrozumiały. Pytam się autora listu, czy odgadłem myśl ukrytą w liście i pytam każdego z Czytelników, czy i on podobnej myśli w liście tym nie odkryje?

Na tem tle mógłbym snuć długie pasmo myśli nie wesołych i wprost ponurych, lecz jestem zdania, że nie należy nam zbyt zagłębiać się w myślach ponurych, bo mogłoby to słabszym odebrać odwagę, a my tej odwagi potrzebujemy dużo, bardzo dużo.

Po tym ponurym obrazie podam wiadomość *niepocieszającą*, lecz *pocieszną*. Otóż jakiś żartowniś puścił pogłoskę, że rząd potrzebując pieniędzy na chińską wojnę, zamknie wszystkie banki i pieniądze im poodbiera. Wiadomość ta sama w sobie pocieszna, ale jeszcze pocieszniejsze to, że znalazło się podobno kilku czy też kilkunastu naiwnych, którzy uwierzyli tej pogłosce i opowiadali w bankach, że z wyżej przytoczonej przyczyny chcą wycofać pieniądze swe z kasy. Wybito im z głowy owe bajki i strachy i poczciwi ludziska wrócili do domu uspokojeni. Jest to rzecz sama w sobie mało znacząca, a jednak niepocieszająca, bo jest ona dowodem, jak mało się ludek nasz zastanawia, jak łatwo go wywieźć w pole. A dlaczego? *Bo nie czyta, a jeżeli czyta nie rozumuje nad tem, co czytał.* Prosty rozum dyktuje, że rząd na prywatną własność się nie targnie, bo wie, żeby tem zdemoralizował wszystko, więc mogą owi łatwowierni spać spokojnie. *Verus.*

Stara pieśń słowacka.

(Tłomaczone z słowackiego).

Tysiąc lat minęło, jak słowiańskie plemię
Osiadło słowacko-czeską naszą ziemię.
Całe długie wieki kraina ta mała,
Piersią swą słowiańskie ludy zasłaniała.
A dzisiaj jest smutno w tej naszej krainie,
Bo gdzież jest wesoło, jak wolność zaginie?
Nam tu już nie dadzą mowy swej używać,
Nam już jest nie wolno pieśń słowacką śpiewać.

Języka nie uczą w szkole słowackiego,
Ale za to wiele uczą madziarskiego.
Aby jak najprędzej nas zmadziaryzować,
Każe rząd słowacką ziemię wykupować.
Żywioł też madziarski przez rząd swój wspierany
Wykupuje wszędzie piękne nasze łany,
A madziarski podstęp i madziarska zdrada,
Na słowackich gruzach ojczyznę zakłada.
Słowiańskie więc ludy! trzymajmy się razem!
Madziar nas nie zmoże ogniem ni żelazem.
Kochajmy się szczerze i szanujmy siebie—
A wolność zabłyśnie na słowiańskiem niebie.
Niechaj Rus, Lech i Czech będą sobie braćmi,
A przy nich Madziarów potęga się zaćmi.

J. K. Korab-Jasielski.

Poznań, 16. VIII. 1900.

Wiadomości.

Opis Zlotu Sokołów z illustracyami odłożyć musieliśmy z powodu trudności technicznych do następnego numeru.

Wieś rycerską Katarzynowo pod Strzałkowem nabył za pośrednictwem firmy Drwęskiego & Langnera — Centralnej agentury dóbr w Poznaniu — od pana Antoniewicza pan Kazimierz Chrzanowski. Przewłaszczenie już nastąpiło.

Że „Vester“ w artykule „Polska dla Polaków“, zamieszczonym w nr. 28-ym „Pracy“, wielką napisał prawdę, o tem przekonuje nas następujące „*Ostrzeżenie*“, zamieszczone w pelplińskim „Pielgrzymie“:

„Katolicka „Germania“ berlińska ostrzega ponownie katolików przed nabywaniem przedmiotów dewocyjnych, jak n. p. obrazów świętych, książek do nabożeństwa, krzyżów i t. d., z których rzekomo pewna część czystego zysku przeznaczoną jest na budowę kościołów lub tym podobne cele w okolicach niemieckich lub zagranicą. — Zwykle bowiem odnośne kościoły otrzymują tylko bardzo małe kwoty, podczas gdy lwia część zysku z tych przepłacanych przedmiotów płynie do kieszeni niekatolickich wydawców lub handlarzy. „Germania“ ubolewa, że mimo odnośnego zakazu Biskupów zawsze jeszcze znajdują się kapłani, którzy się takim handlem posługują, dalej że bardzo wielu wiernych w ten sposób wydaje dużo pieniędzy na marne, zamiast wspierać potrzeby kościelne w bliższych swych okolicach. Teraz znowu rozszerza taka niekatolicka firma: Duncker i Sp. w Berlinie kwity gwarancyjne na odnośne przedmioty, w polskim języku, rzekomo na budowę kościoła w Wittringen w Alzacyi. Widocznie więc spekuluje na polskie pieniądze. Niechże tedy nikt tych kwitów nie nabywa. — W każdym razie w tym i podobnych wypadkach należy się udać wpierw po radę do miejscowego duszpasterza, a ten poradzi najlepiej, ewentualnie wskaże, na jaki cel poświęcić ofiary. Nie dajmy się wyzyskiwać obcym, mając tyle potrzeb kościelnych we własnych parafiach.“

Do skompletowania kwartalników „Pracy“ potrzebny jest nam numer 32 z roku bieżącego, o którego nadesłanie upraszamy niniejszem naszych Czytelników, za co im się wywdzięczymy w inny sposób.

Na fundusz jubileuszowy dla Henryka Sienkiewicza nadesłali w dalszym ciągu pp. dr. Eustachy Zaleski ze Złoczowa w Galicyi 1 markę, Jan Mrówczyński z Poznania 50 fen.

Dalsze datki na cel powyższy przyjmujemy chętnie.

Na fundusz jubileuszowy dla Józefa Chociszewskiego nadesłali w dajszym ciągu pp. dr. Eustachy Zaleski ze Złoczowa w Galicyi 1 markę, Jan Mrówczyński z Poznania 50 fen.

Dalsze datki na cel powyższy przyjmujemy chętnie.

Jeden z Czytelnikow naszych prosi o wskazanie średniego miasta, gdzieby można założyć handel stroi w połączeniu z handlem towarów krótkich. Odpowiedni kapitał jest do dyspozycyi.

Żołnierzom, którzy mają chęć zgłosić się na ochotnika do Chin, niech służy za przestrogę to, że zgłoszenie takie jest już bezwzględnie obowiązujące, że później cofnąć się już nie można. Wielu z ochotników, którzy zaraz po pierwszem wezwaniu zgłosili się do służby w Chinach, a później się odmyślili, ciężko potem żałowało niewczesnego zapału. Nie pomogły nawet podania rodziców do wyższej władzy wojskowej; kto się raz zgłosił — musiał stanąć do szeregu i odpłynąć na pole walki. Nawet w razach, gdzie chodziło o małoletnich, władza wojskowa odpowiadała rodzicom na odnośne podania odmownie, twierdząc, że żołnierz, noszący mundur królewski, już przez to samo staje się pełnoletnim. Tak tedy każdy żołnierz niech się dobrze namyśli, zanim się zgłosi, później bowiem o cofnięciu się nie ma już mowy.

Jak już swego czasu pisaliśmy, otrzymał p. Stefan Żychliński właściciel fabryki mydeł w Gnieźnie, złoty medal na wystawie Przyrodniczo-Lekarskiej w Krakowie.

Pomiędzy mydełkami toaletowemi odznaczało się mydełko hygieniczne przetłuszczone (lanolinowe z herbem Gniezna), mydełko to zawiera 5% wolnego tłuszczu, który oddaje skórze w zamian usuniętego przy myciu; dlaczego odpowiada w zupełności wymaganiom hygieny.

Do przesycenia mydełka tego jest użyta mięszanina tłuszczów, która nie usuwa się mechanicznie przy myciu wodą, lecz tworząc z nią rodzaj zawięsiny, łatwo powleka skórą delikatną warstwą. Wskutek tego przy używaniu mydeł leczniczych przetłuszczanych (z herbem Gniezna) skóra staje się elastyczną, delikatną i nie pęka.

Cena mydełek jest bardzo przystępna — 25 fenygów.

Dr. Adam Karwowski, specyalista na choroby skórne i pęcherza, wrócił z podróży do Poznania.

† **Środa**, 16 sierpnia. W dniu Wniebowzięcia Matki Boskiej to jest 15 t. m. odprowadziliśmy na wieczny spoczynek zwłoki ś. p. Franciszka Staymetza. Zmarły cieszył się wskutek swego charakteru ogólnem poważaniem, bo znany to był mąż, który chociaż z biedą musiał walczyć, jednakże ufając w pomoc Bożą, pozostawił po sobie wiele pamiątek. Jego artystyczna dłoń wykonała wiele obrazów w kościołach, w wielkich ołtarzach.

S. p. Franciszek skończył szkołę Matejki w Krakowie a dla dalszego kształcenia udał się do Monachium; gdy zaś wydoskonalił się na artystę-malarza, osiadłszy w Poznaniu i wszedłszy we węzły małżeńskie, zaledwie rok cieszył się szczęściem małżonka, bo śmierć mającego dopiero 34 lata zawcześnie zabrała z tej ziemi. Niech spoczywa w pokoju!

Przyjaciel H.

St. Matteus, Brazylia, 30 czerwca 1900.

Szanowna Redakcyo!

Znajdując się w potrzebie odnalezienia jednego z mych familiantów, do którego z niniejszem pismem list załączam, upraszam Szan. Redakcyą aby raczyła ogłosić w swem piśmie, że ja Roman Paul, poszukuję swego stryja, Ignacego Paula, który w tym roku pisał do mego brata Jana do Barra-feia, stan Paraná w Brazylii. Siedzibą jego o ile wiem jest Slązk, ale czy austryacki lub pruski także nie wiem. Z zawodu jest inżynierem, człowiek letni, żonaty, nie mający żadnych dzieci. *Roman Paul.*

Od Redakcyi.

Panu Dr. Św. w Pr. Fr. Tek takich nie posiadamy, zrobi je Panu na zamówienie każdy introligator.

Panu J. Str. w Pr. Starogardzie. Informacyi w tej sprawie udzieli Panu p. Szulczewski, handel porcelany, szkła i. t. d. w Poznaniu, ulica Wilhelmowska. Na odpowiedź załącz Pan znaczek pocztowy.

Pani Karolinie B. w Jarocinie. Takie rzeczy należą do działu anonsowego, ogłoś Pani wierszyk ów jako anons płatny a zwrócimy uwagę na odnośny Dom towarowy w wiadomościach.

Panu J. Mr... Uznajemy dobre części, ale wpierw radzimy Panu, abyś, zanim zaczniesz pisać wiersze, nauczył się pisać ortograficznie po polsku. Nie pisze się: „zdrucimy“ tylko „zrzucimy“ nie „jażmo“ tylko „jarzmo“. i. t. d.

Panu Michałowi Sk.... w Königsaue. W Poznaniu jest tylko „Straż św. Józefa“, przewodniczącym jest ks. prebendarz K. Zimermann przy kościele Dominikańskim. „Straż św. Wojciecha“ nie istnieje w Poznaniu.

Panu Eug. K. w Felsztynie. Ów wiersz skutkiem rewizyi i konfiskat policyjnych zaginął. Obecnie otrzymany p. t. „Pieśń rozstania“ z powodu nawału wierszy przeznaczonych do druku może później liczyć na uwzględnienie.

Panu Antoniemu Julianowi S. w Krotoszynie. W wiadomym Pańskim interesie udaj się Pan po informacye i t. d. do p. M. Jachowskiego w Trzemesznie.

Pani Waleryi N. w Sep... Wierszyki nadesłane są powszechnie znane, więc ich nie zamieścimy.

Panu Wacławowi Gr. w Brodnicy. Wiersz nadesłany nie nadaje się do druku i pomimo najszczerszej chęci zamieścić go nie możemy. Nieszczęsna wierszomania jest złą wadą u wielu, którą wykorzenić należy. Piszmy więc prozą a poeci niech piszą wiersze!

Panu Danielowi Sl. w Paryżu. Na razie z oferty korzystać nie możemy.

Panu Ign. Kwaś... w Bochum. Artykuły stosowne na odczyty masz Pan nieomal w każdym numerze „Pracy“ np. „Miłość Ojczyzny“, „Rok 1848“, Za wolność naszą i waszą“ itd.

Łamigłówka sylabowa.*)

Sylaby:

a — bob — bu — da — es — fun — la — lis — lar — mo — ment — na — nic — ry — sa — the — ta.

Znaczenie wyrazów:

1. Wybitna osobistość w Anglii.
2. Moneta pruska (lub niemiecka).
3. Miasteczko w Palestynie.
4. Część budynku.
5. Imię żeńskie.
6. Bogacz inaczej zwany.

Początkowe litery czytane z góry na dół, końcowe litery czytane z dołu do góry tworzą imię i nazwisko jednego z najdzielniejszych królów polskich.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z nr. 32 „Pracy".

Bez pracy niema kołaczy.

1. B a b y.
2. E f e z.
3. Z a w i l e c.
4. P a p u g a.
5. R y c z y w ó ł.
6. A p o l l o.
7. C y r u l i k.
8. Y o k o h a m a.
9. N i k o d e m.
10. I s m e n e.

Dobre rozwiązanie nadesłali:

Z W. Ks. Poznańskiego:

Z Poznania: pp. W. Thomas, St. Bukowska, St. Jax, M. Pawłowska, A. B. Henke, W. Najgrakowski, S. Nawrowski, C. Ziółkowska, W. Bogajski, L. Antoniewicz, L. Kubiak, L. i E. Tucholski, T. Hechelski, Marya Cichowicz, Marya Sławska, T. Jezierski, Br. Szmytkowska Fr. Wagner.
Z Pleszewa: pp. A. Szulczewski, L. Wysocka.
Z Rawicza: p. Tyrankiewicz.
Z Gąsawy: p. A. Schmidt.
Z Gniezna: pp. T. Meissner, T. Szulc.
Z Buku: p. H. Siuchińska.
Z Ostrowa: pp. M. Kryzan, H. Skowrońska.
Ze Sremu: pp. M. Radwańska, L. Idaszewski.
Z Wolsztyna: p. St. Miedziński.
Ze Strzelna: p. J. Nowicki.
Z Krzywinia: p. M. Szpet.
Z Obornik: p. M. Wawrzynowiczówna.
Ze Wschowy: p. J. Tomaszewski.
Z Miłosławia: p. R. Swietlik.
Z Nakła: p. W. Rapsch.
Z Inowrocławia: pp. H. Melanowicz. S. Rybicki.
Z Gostynia: p. Fr. Męk.
Z Bydgoszczy: p. F. Budzbon.
Z Kórnika: p. S. Szaroletta.
Z Czempina: p. J. Dalkowski.
Z Ostrzeszowa: p. Z. Rajewska, W. Cieplik.
Ze Srody: p. W. Olszański.
Innych rozwiązań ze Srody podpisanych pseudonimami nie zamieszczamy.
Z Kruświcy: p. W. Radtke.
Z Borku: p. A. Siwiński.
Z Wągrówca: p. B. Kośmider.
Z Gniewkowa: p. F. Bocian.
Z Wirów pod Poznaniem: p. W. Nalewajska.
Z Lutowa: p. J. Dobek.
Z Lubostronia: p. A. Bessert.
Z Mieściska p. Duszniki: p. T. Bogacki.
Z Donaborowa p. Kępno. p. F. Kasprowicz.
Z Wroniaw: p. J. Zagierski.
Z Czacza: p. F. Wiśniewska.
Z Łopienna: p. J. Szulc.
Z Roska: p. J. Spychalska.
Z Jurkowa: p. S. Głowacki.
Z Bzowa p. Lubasz: p. K. Nieżychowska.
Z Niepartu: p. M. Piotrowska.
Z Sarbinowa p. Poniec: p. F. Tyczyńska.
Z Posługowa: p. K. Krüger.
Ze Slesina: Imci ks. prob. Gryglewicz.
Z Turska p. Turowy: p. C. Kuplerska.
Z Strzyżewa Kośc. p. Gniezno: p. S. Pietrzak.
Z Michorzewa: p. Z. Omałkiewicz.
Z Widziszewa: p. S. Mocek.
Z Potulic p. Nakło: p. M. Wiewiórowska.
Z Dobieżyna: p. M. Kober.
Z Pawłowa p. Kiszkowo: p. Sauer.
Z Hulczyna: p. J. Petzelt.
Z Grodnicy p. Zalesie: pp. W. Tadrzyńska, J. Pajzderska i S. Brodziak.

Z Prus Zachodnich.

Z Pr. Starogardu: p. W. Cetkowski.
Z Cygusa p. Mleczewo: p. F. Połomski.
Z Bysławia: p. B. Łyczywek.
Z Wąbrzeźnia: pp. C. Z. S. Łukaszewicz.
Z Radzynia: p. T. Dejewski.
Z Pelplina: p. A. Karczyński.

Ze Śląska:

Z Katowic: p. H. Ciemięga.
Z Rożdzienia: p. J. Badura.
Z Bierunia: p. S. Kłobukowski.
Z Chociebuża: p. K. F.
Z Nowych Hajduk: p. J. Muszkiet.
Z Zawodzia: p. J. Sidło.
Z Wielkich Zimnic: p. F. Stach.
Z Grzawy: pp. J. Kędzior i F. Moroń.

Z Galicyi:

Ze Lwowa: p. B. Jabłoński.
Z Tarnowa: pp. A. Gutthy, St. Partyński.
Z Bochni: p. S. A. Warcholik.
Z Wiśnicza Nowego: p. A. Kolarz.
Z Niepołomic: pp. J. Ziemba, K. Nowinski.
Z Brodów: p. J. Sien.
Z Sokala: p. M. Swiętkowska.
Z Miejsca Piastowego: p. B. C.
Z Tłustego: p. W. Mroczkowska.
Z Stanisławowa: p. Lubelski.
Ze Stryja: p. J. Krzyszkowski.
Z Kęt: p. E. Krzysztoforski.

Z Kongresówki:

Z Warszawy: p. A. Kąsinowski.

Z obczyzny:

Z Berlina: pp. W. Grodzki, S. Rzepczyńska, M. Z. Dekubanowska, I. Rochon.
Z Charlottenburga: p. J. Gettler.
Z Hanoweru: pp. L. Kostrzewski, L. Kobierzycki.
Z Löbtau (Drezno) p. M. Dzwonkowski.
Z Recklinghausen: p. Z. Radomski.
Z Königsaue: p. M. Skrzypczak.

Nagrodę otrzymała przez wylosowanie: pani M. Z. Dekubanowska z Berlina.

*) Przeznaczamy za dobre rozwiązanie jedną nagrodę tj. książkę wartościową. Los rozstrzygnie komu nagroda przyznaną będzie. Rozwiązania przyjmujemy do 29 sierpnia włącznie. Dla oszczędzenia portoryum prosimy nadsyłać rozwiązania na kartach pocztowych.

Humorystyka.

Bajka.

Szły osły na pastwisko — pastuchy za niemi,
Z boku jakiś podróżny idąc mimochodem
Rzekł: „Mój Boże, jak dziwnie jest na naszej ziemi
Ludzie w tyle się mieszczą — osły idą przodem!"

Tak i nie.

Na nowinki dziś posucha,
Awanturek także brak,
Więc tłómaczę, kto usłucha —
Co to znaczy wyraz „tak."
Również inny co w przekorę,
Zwykle dziś używa się —
A więc sądzę, będzie w porę
Wytłómaczyć także „nie..."
Żona jako słowik tkliwa,
Skryty w wonnej róży krzak,
Gdy aniołem ją nazywa
Mąż — to mu odpowiada „tak".
Lecz gdyby mąż pragnął wiedzieć,
Myśli żony błądzą gdzie?
Wypadłoby odpowiedzieć:
Chyba owej żonie „nie."
Z mężem taka sama sprawa:
Czy mnie tylko kochasz wszak,
Gdy pyta żona ciekawa:
Odbierze odpowiedź „tak."
Ale, gdzie jest bez przygany
Mąż, który nie robi źle,
Który czasem przyłapany,
Nie musiałby odrzec „nie."
Lichwiarz, co w swym procederze,
Wyćwiczony jest jak szpak,
Gdy mu rzeczesz, że łotr bierze
Tylko lichwę, powie „tak,"
Ale kiedy procentami,
Jako w kleszczach ściśnie cię,
Spytaj, czy go to nie plami —
A on ci odpowie „nie."
Szuja mówiąc o honorze,
Choć mu go zupełny brak,
Zapytany w każdej porze
Czy ma honor? łże, mówiąc „tak."
Podłość, chytrość w wyścig bieży,
Trutnie dążą zwykle wspak,
Sądzę, każdy mi uwierzy:
Że „nie" to jest ludzkie „tak!"

M. B.

Nie zazdrość!

Nie zazdrość tym, o ty, co czwórkami jadą —
I oni kłopoty wiozą, lecz z paradą!

* * *

Rozdźwięk.

Każdy równym żarem płonie,
Pragnąc w niebie być,
Lecz na samą myśl o — zgonie,
Już zaczyna drżeć!

Szczyt wstydliwości.

— Kto jest ten człowiek, który chyłkiem ucieka pod ścianą, aby się z nami nie spotkać?...

A na to zapytany z dumą:

— To mój krawiec! zapłaciłem mu wczoraj i dziś wstydzi się, że mnie dawniej nagabywał!....

Autentyczna logika w pewnej podmiejskiej restauracyi.

Gość, przy płaceniu rachunku. Ależ tu u was szalenie drogo, panie gospodarzu.

Gospodarz. Proszę pana dobrodzieja, jeżeli pan dobrodziej chce się oszczędzać, dlaczego pan dobrodziej w mieście nie jada?

Pewien kupiec złamał nogę,
Bo wypadki często mamy,
A konkurent zaraz krzyknął:
— On to zrobił dla reklamy!

Pani: — Małgosiu, mam nadzieję, że podczas mojej nieobecności, żywiłaś dobrze moich ulubieńców?

— A jakże, proszę pani, raz tylko zapomniałam dać jeść kotowi.

— Ale nic mu się nie stało?

— Nic, bo zjadł kanarka na śniadanie, a papugę na obiad.

*

Roztargniony.

— Jest pan radca w domu?

— Pan radca? Nie panie. Pan radca śpi już od dwóch tygodni w ziemi.

— O, to mu nie przeszkadzam. Dobry sen wzmacnia i pokrzepia.

* * *

U doktora.

— Panie konsyliarzu — coś mi się zrobiło na karku...

— A apetyt pan masz?

— Mam.

— A ból głowy?

— Mam.

— A dwie marki?

— Mam.

— No, to pokaż pan, co panu dolega, to panu poradzę.

Pan doradca.

W głowie, w kiesce wielkie pustki,
Chociaż wygląd ma prezesa;
Swoich niema interesów,
Robi „cudze interesa.“

Wielce to usłużne homo,
Zawsze wtrąca głos doradczy:
Chcesz co kupić — on załatwi,
Nawet pannie się oświadczy.

Odprowadzi twoją babkę,
Lub na spacer twoje dzieci,
Psa ci zręcznie wytresuje,
Słowem, co mu pan poleci.

Kędy mieszka — nie wiadomo,
Z czego żyje — tajemnica...
Dziś doradcą jest bankiera,
Jutro druhem jest szlachcica.

O zasady go nie pytaj,
Gdy się kłania, wciąż doradza...
Pieczeń, pieniądz i cygaro,
To jego postępków władza.

Dzisiejsze oświadczyny.

On.

Pani! Kocham Cię szalenie
Chociaż puste mam kieszenie —
Lecz ma miłość tak zażarta
Jest — co najmniej milion warta!

Ona.

Chociaż niemam sama „centów“
Daję kosza — bom ostrożna
Pański milion bez procentów,
A z gotówki żyć nie można!



Pasy



Oliwy i tłuszcze.

Pasy skórzane, z sierci wielbłądziej i bawełnian. Gumowe, azbest. towary techn. Skóra do reparacyi pasów oraz na manszety i wentyle. Troki do szycia.

Worki do zboża.
Płachty nieprzemakalne
Oliwy i tłuszcze.
Reparacye pasów uskutecznia się prawidłowo.

Z. Mazurkiewicz,

Fabryka pasów skórzanych, założona 1878 r.

Skład technicznych artykułów dla cukrowni i gorzelni.

Kantor ulica Bismarka Nr. 10. Telefon Nr. 22.

Medale: Bydgoszcz 1880, Lwów 1894, Poznań 1895.

Pługi parowe

budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach począwszy od

28,000 marek.

Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek

budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach. 316

John Fowler & Co., Magdeburg.

Dla średnich i mniejszych gospodarstw

polecają swoje wyroby, jak **młockarnie i maneże, sieczkarnie** konne i ręczne, **wialnie, siekacze** do buraków, **grabie** do siana, **pompy** podwórzowe i ozdobne, **centryfugi** do mleka, **wszelkie części do maszyn** po nader przystępnych cenach. 433

Pleszewska fabryka maszyn
W. Jezierski i Sp.

Reperacye maszyn tanio i trwale. Cenniki na żądanie gratis i franko. Sprzedaż za gotówkę i na raty.

Cegielnia w Przysiece

G. m. b. H. 406

Niem. Przysieka — Dtsch. Presse Bz. Posen

poleca w wybor. gatunku i starannem wykonaniu

tonówkę	**falcówkę**
klinkry	**dachówkę**
cegłę posadzkową	**licówkę i**
sączki	**cegłę formową.**



Leistungsfähigste
Bayerisch. Zugochsen
aller Rassen

wie:
**Rote Voigtländer
Böhmische-
Bayreuther-
Hofer-
Simmenthaler-
Miessbacher-
Uebertäurer (Pinzgauer)
u. gelbe Scheinfelder-**

Schecken,

Zucht u. Milchvieh
aller Höhen und Niederungsschläge,

wie der:
**Simmenthaler,
Schwyzer,
Ostfriesichen,
Oldenburger,
Altmärker,
Wilstermarsch,
Breitenburger
und Angler Rasse**

sowie 6—24 Monate alte Kälber dieser Rassen empfiehlt franco jeder Bahnstation 1110

Leopold Engelmann, Weiden, Bayern.

Correspondenz deutsch oder französisch erbeten.

CYGARO

w cenie hurtownej 15—25% taniej jak detalicznie, polecam jako bardzo ulubione, wybornego smaku następujące gatunki:

Intelecto	za 100	sztuk	2,50 m.
Alma	„ 100	„	2,75 „
La Plata	„ 100	„	3,00 „
Fides	„ 100	„	3,30 „
Quodlibet	„ 100	„	3,50 „
Carino	„ 100	„	4,00 „
Birma	„ 100	„	4,50 „
Berolina	„ 100	„	5,00 „
Lopez	„ 100	„	6,00 „
Carmen	„ 100	„	7,00 „
La Rosedor	100	„	8,00 „
La Espanola	100	„	10,00 „

Oprócz powyższych polecam mój wielki zapas dobrze odleżałych cygar, zwłaszcza tańszych dla sprzedających z drugiej ręki. Przy odbiorze 300 sztuk wysyłam franco. Papierosy, tytunie tureckie i rosyjskie oraz gilzy w wielkim wyborze poleca 75

T. Łaganowski, Poznań,
Chwaliszewo nr. 2.

Spółka Stolarska
w Swarzędzu

poleca swój 411

wielki

magazyn mebli

z dobrego materyału i własnego wyrobu.

Ceny przystępne.
Usługa skora.

Najtańsze źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.

„Każdy chory“

odzyska całkowicie swoje utracone zdrowie, za dokładnym opisem swej choroby. — Listy uprasza się w wszelkiem zaufaniu nadesłać pod lit. **T. D. 409.** do eksped. „Pracy“. Ręcząc ścisłą dyskrecyą. 409.

Pierwszorzędna Krotoszyńska

fabryka papy i holzcementu

J. Sierodzki

(zał. 1896 r.) **w Krotoszynie** (zał. 1896 r.)

poleca swój

największy skład angielskiej smoły węglanej, asfaltu, holzcementu, tektury ogniotrwałej, li tylko w najprzedniejszych gatunkach, jako też ***wszelkich materyałów do pokrycia dachów,*** po jak najtańszych cenach, dostawiając w prowincyi franko do każdej stacyi kolejowej; i wykonuje: ***pokrywanie dachów*** dwupokładowych, pojedyńczych papowych i z holzcementu, jako też ***reperacye i renowacye*** starych dachów pod gwarancyą i po nader niskich cenach. 251

Fabryka ogniotrwałych tektur na dachy (papy) asfaltu i przetworów smołowcowych

Sobecki & Wrzesiński

w Poznaniu 122

poleca asfalt, papę na dachy w rozmaitych gatunkach, asfaltową papę na fundamenta, kit włóknisty, mastyks i lakier na dachy, smołę preparowaną, lepnik (Klebemasse), holccement, gwoździe (papiaki), carbolineum gudron, asfaltowy filc na dachy itd. itd.

Biuro: w Poznaniu, ul. Wilhelmowska 20. Fabryka: w Głównie pod Poznaniem.

Spółka Rolników parcelacyjna

Poznań, ul. Wilhelmowska nr. 18

pośredniczy w sprzedaży i kupnie 360

majątków ziemskich,

parceluje

gospodarstwa, folwarki i majątki ziemskie

w każdej wielkości na rachunek właściciela lub własny; — Wpłaty na kupione parcele bardzo umiarkowane.

Zajmuje się pośrednictwem w

wydzierżawianiu majątków ziemskich

większych i mniejszych.

Do kasy oszczędności

przyjmuje depozyta, płacąc od takowych obecnie:
3½% za każdorazowem wypowiedzeniem,
4% za ćwierćrocznem „
4½% za półrocznem „
za rocznem wypowiedzeniem wedle umowy.

Ma każdego czasu do odstąpienia

hipoteki 5 proc. pierwszomiejscowe.

Kupuję gospodarstwa

na parcelacyą w każdej wielkości i płacę gotówką. 11

L. Mikulski

interes parcelacyjny założony od roku 1892 w Inowrocławiu.

Celem rzetelnego i korzystnego kupna ***większych majętności ziemskich z gorzelniami, borami pp. lub bez takowych, folwarków, gospodarstw większych oraz hoteli itd.***

poleca swe pośrednictwo 335

J. Fortuński,

Gniezno, ulica Nowa nr. 6.

Telefon nr. 57.

Polecam dobrze się procentujące **kamienice i hotele w Gnieźnie i na prowincyi** pod barkorzystnemi warunkami.

Folwark 400-morgowy

resztkę z parcelacyi, której już dalej dzielić nie można, **pomieniamy** na większe **gospodarstwo we wsi, gdzie parcelacya możliwa.** Folwark nasz ma 300 mórg dobrej roli i 100 mórg pięknych łąk, z podwórzem w samym środku gruntu, inwentarze tak żywe jak i martwe znakomite. Jest też tam 8-morgowe rybne jeziórko i polowanie świetne. 469

Cena 90,000 marek, a reflektant, chcący się pomieniać, powinien mieć majątku w swojem gospodarstwie 20—40 tysięcy marek.

Bank Parcelacyjny

w Poznaniu, Piekary 18.

Oldenburg. wesermarskie buhaje

rozpłodowe,

wysokocielne krowy i jałowice

franko do każdej stacyi dostarcza 989

Oldenburger Wesermarsch-Vieh-Absatz-Genossenschaft

e. G. m. u. H. Ellwürden, Grhgth. Oldenburg.

Pan **A. G. Lange w Ostrowie,** posiedziciel mleczarni, przyjmuje zamówienia.

Każdego czasu poleca

Wybór

tylko sumiennie rekomendowanych

Urzędników gosp.

wszelkich stopni,

Gorzelanych,

Podgorzelników,

Leśnych,

Borowych i t. d.

bez wszelkich kosztów

DRWĘSKI & LANGNER

Centralne Bióro Zleceń

w Poznaniu, ul, Rycerska 38.

Założ. w r. 1876. **Telefon Nr. 1246.**

Firma sądownie zapisana.

Chcąc się w przyszłości poświęcić wyłącznie instalacyi elektrycznej, **wyprzedaję** od 1-go lipca wszelkie **towary** wchodzące w zakres **optyki, mechaniki i kołownictwa** po każdej możliwej cenie. W danym razie gotów jestem **sprzedać od razu** rzeczone wydziały przedsiębiorstwa mego dające **utrzymanie dostateczne dla rodziny.**

F. BISKUPSKI, Poznań, Berlińska ul. 11.

Firma fundowana 1880 roku.



Podciągi (tragarze) filary, okna

i wszelkie inne artykuły do budowli

poleca 72

w wielkim wyborze

i po przystępnych cenach

T. Krzyżanowski,

Poznań,

Szewska ul. 17.

Kołdry

(Steppdecken)

w bardzo wielkim wyborze rozmaitego gatunku, koloru i w pięknych deseniach nabyć można tylko *w pierwszej wiedeńskiej fabryce kołder*

R. Bild'a

a nie w żadnym innym składzie. Przerabiam kołdry najdokładniej, mając w tym celu na składzie wielki wybór materyi. 43

R. Bild'a

pierwsza wiedeńska fabryka kołder, **Wrocław, Breslau, Schmiedebrücke Nr. 55.**

Wchód: Kupferschmiedestr. I drzwi, I piętro.



Edmund Paulus

Markneukirchen Nr. 206.

Rzetelne źródło zakupna wszystkich instrumentów dętych i smyczkowych harmonik ustnych i ręcznych tylko w dobrem wykonaniu i po cenach najtańszych pod gwarancyą.

Cenniki franko. 338

Smyrneńskie

wyroby ręczne

i 1025

dywany smyrneńskie

cenniki darmo i franko.

Fabryka wełny

Wilh. Lau, Arnswalde.

W zamian daję przędzę smyrneńską za wełnę owczą.

Najlepsze mydło

jest z fabryki

St. Żychlińskiego

w Gnieźnie.

Złoty medal
Gniezno 1896,
Kraków 1900.

W składach kolonialnych itp. prawdziwe jeśli na każdym kawałku **wytłoczona firma.** Przetłuszczone mydełko lanolinowe z herbem Gniezna (po 25 fen.) upiększa płeć, usuwa piegi itd.

Dla Narzeczonych!!

Bardzo wiele pieniędzy

zaoszczędza każdy, kto — kupując ślubne pierścionki, zegarek, lub biżuteryą żąda mego katalogu. 297

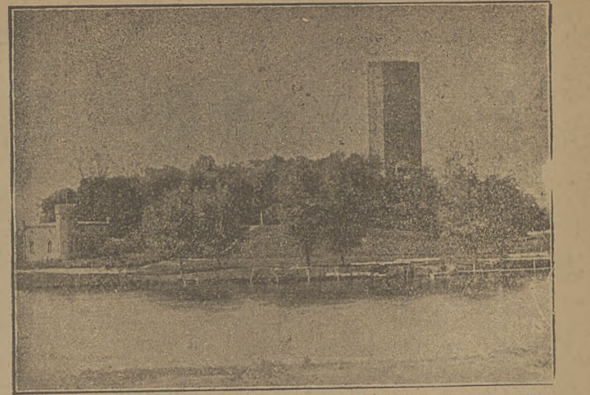
J. Strzelecki, Mogilno, (filia w Inowrocławiu).

Gimnazyastów

przyjmuje na stancyą

H. Siemiątkowska

Długa ul. nr. 11. parter.



Restauracya pod Myszą wieżą.

Szanownym Towarzystwom, Panom kołownikom, Kółkom familijnym itd. polecam mój przy jeziorze Gople położony

piękny ogród z kręgielnią i salą do tańca.

Lubownikom sportu polecam moje **łodzie do przejażdżek po jeziorze.** 399

Przyrzekam skorą i rzetelną usługę.

Uniżony

M. Degórski, Kruświca.

Telefon nr. 32.

Patenty na wynalazki

wyjednywa i sprzedaje we wszystkich krajach

inżynier K. Ossowski,

Międzynarodowe Biuro Patentowe,

w Berlinie W., Potsdamerstrasse 3.

— Ciotka: Czem będziesz Józiu?

— Józio: Misyonarzem.

— Ciotka: Jak to pięknie, jak szlachetnie! Prawdziwe powołanie zazwyczaj wcześnie się objawia. Skąd ci to przyszło na myśl?

— Józio: Chciałbym widzieć, jak ludożercy pieką na rożnie człowieka.

B. Sadowski,

jedyny polski fachowy zegarmistrz

w Krotoszynie (Krotoschin).



poleca prawdziwie dobre zegarki, zegary i t. d. Zegarki męzkie, srebrne, rem. lub klucz. po 7,50, 9, 11, 13, 15, 18 do 30 mk. Zegarki srebrne z wizerunkiem Matki Bozkiej rem. lub klucz. po 10, 12, 14, 17, 21 i 23 mk. Zegarki damskie złote po 15, 18, 21, 25 do 100 mk. Regulatory, zegary stołowe i ścienne, budziki, tylko w najlepszych gatunkach. Obrączki ślubne, pierścionki, broszki, kolczyki, krzyżyki etc. w wielkim wyborze. Ceny tanie! Gwarancya długoletn. Wymiana towarów dozwolona. Cennik wysełam darmo i franko. Ażeby uniknąć pomyłki, proszę bacznie zważać na firmę, ponieważ istnieje tu jeszcze jeden skład zegarów z podobnym nazwiskiem, prowadzony przez niefachowca 463

Z powodu wydalenia po 30-letnim pobycie z państwa pruskiego, zmuszony jestem mój przed rokiem założony i bogato zaopatrzony 456

skład cygar, papierosów i t. d.

do 1. 10. r. b. zwinąć.

Przeto odtąd oddaję towary powyższe po cenach zakupna, przy przejęciu zaś całego interesu przy gotówce ofiaruję 10%. Dla rodaka pewna egzystencya. Polecając się łaskawym względom, kreślę się z wysokim szacunkiem

M. Grzegorzewski, Chełmża.

Bankier Goldfisch oglądając w muzeum starożytną popielnicę.

— Oj, oj — pan kustosz mnie powiada, że to jest popielnica z czasów przedhistorycznych — bardzo piękna — a to mnie tylko ciekawi, jakie wtedy musieli ogromne cygara palić, kiedy takie wielkie są popielniczki.